



## PISMO DLA RODZIN.

№ 29. Warszawa, dnia 10 (22) Lipca 1875 roku. Rok 11.

CENA PRENUMERATY

| W Warszawie z odnoszeniem do domu: | | na prowincyi w Cesarstwie i Królest. | |
|---|---|---|---|
| rocznie . . . . | rs. 6 k. „ | rocznie . . . | rs. 8 |
| półrocznie . . | „ 3 „ „ | półrocznie . | „ 4 k. „ |
| kwartalnie . . | 1 „ 50 | w Austryi roczn. | 14 guld. |
| miesięcznie . | „ 50 | w Prusach „ | 24 marek. |

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12, w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.




# PRZYCZYNY ZŁEGO.

## II.

### Bezwyznaniowość.

Co rozumiemy pod tem mianem, budzącem przestrach w naszem społeczeństwie, i kogo nazywamy *bezwyznaniowym*?

Zjawisko to, pojęte w całej swej rozciągłości jak my je tu rozumiemy, istotnie jest rzeczą straszliwą przejmującą dreszczem jak śmierć zimnym wstrętną jak rozkład organizmu, jest czemś podobnem do nieobecności świadomego ducha w ciele, zachowującem jeszcze oznaki życia i ruchu, lub ciemnej bezrozumnej siły, biorącej górę nad myślą. Bezwyznaniowość—to upadek zasad, przyświecających umysłom, jak gwiazda dążeń szlachetnych, to wygaśnięcie w duszach tego, co nazywamy obecnością w niej bóstwa. Człowiek bezwyznaniowy jest literalnie zwierzęciem, ohydniejszem i straszniejszem od innych, bo rozporządzającem ludzkiemi środkami, a społeczeństwo z takich przedstawicieli złożone (gdyby to było możliwe), byłoby podobnem do obrazu owej okropnej, wiecznej nocy Bajrona. Wyłączność tej haniebnej nazwy i szczególne odnoszenie jej do pewnej sfery przekonań zaciemnia nam pojęcie bezwyznaniowości i prowadzi do brania formy za treść samą, pozorów za rzeczywistość. Przez stosowanie nazwy „bezwyznaniowy“ wyłącznie do ludzi liberalnych w przekonaniach religijnych, wyrządzamy ciężką krzywdę tym którzy w innej formie tylko wyznają najświętsze zasady i kierują się niemi w życiu szlachetniej częstokroć od wielu, pod płaszczykiem prawowierności kryjących swą nicość moralną. My nie ograniczając się takim poglądem, żądamy aby nazwa bezwyznaniowości całym ciężarem pogardy spadała na ludzi bez wewnętrznego, istotnego wyznawania prawd czystych, bez przekonań, bez zasad i pragnień innych, nad egoistyczne materyjalne dobro.

Tych nazywamy tu bezwyznaniowemi bez względu na to, czy osłaniają się pozorami religijnych przekonań, czy świecą blichtrem wolnomyślności, bo ogólnem ich znamieniem jest nikczemna nędza duszy, a udziałem w życiu społeczeństwa — zaraza przymiotami swymi i podkopywanie wszystkiego, co szlachetne. Nic straszniej nie mogłoby skazić naszego charakteru, nad przyłączenie się doń tego indyferentyzmu który nazwaliśmy tu bezwyznaniowością, cóżby się stało gdyby na nasze dobre chęci i pochopność do pięknych czynów, manifestującą się raczej w efektach niż w pożytecznej pracy, powiało zimne tchnienie tej nędzy duchowej.

Na pozór to rzecz obca nam zupełnie, gotowiśmy w swej dumie upewniać, że jeśli takie wstrętne widmo grozi nam tu i owdzie, to jedynie pochodzi z zagranicznych źródeł zepsucia, nam bo najmilej na zewnętrzne przyczyny spędzać wszystko złe co nas spotyka. Lecz nim rzucimy gromy na *zgniły zachód*, spytajmy się własnej historyi, przebiegnijmy myślą ostatnie wieki jej i pomyślmy, skąd powstały pierwiastki rozkładu nieuleczonej, śmiertelnej choroby? Czy zawsze z Zachodu? Ale prawda. My i na to mamy przysłowie: „zły to ptak co swe gniazdo kala“. Według naszych przekonań, choremu który sam się leczyć powinien nie należy mówić o chorobie. Przejdźmy do czasów obecnych. Niedoszliśmy jeszcze do tego aby trzeba było uderzać w rozpaczliwy krzyk na trwogę w obec tego widma; postępy jego są wolne, nie rzucają się w oczy, szerzą się nieznacznie. Upadek zasad i przekonań nie pokazuje jeszcze swego oblicza. Czy przeto możemy być spokojni?..

Ogół, przeważnie składa się z dusz szarych, nijakich, w życiu panują fakta bezbarwne, dwójznacznej natury, od czasu do czasu tylko wśród rzadkich błysków dobrej woli, okazują się coraz częstsze, kryjące się w cieniu czyny nędzy moralnej i obłudnej i złej wiary. Przy lada sposobności wykazuje się małoduszność i krzywemi drogami biegnący do fałszywie nieraz nawet pojętych swych celów — brudny egoizm.

Czy przy takim stanie rzeczy można spokojnie patrzeć na szerzący się gdzieindziej w skandalicznych objawach materyjalizm moralny, wmawiając w siebie że duch nasz zbyt podniosły jest, żeśmy zbyt czyści w zasadach, abyśmy mogli powoli zanurzyć się w bagno zepsucia. Niestety! brak nam właśnie tej szlachetnej, silnej podniosłości duszy, tego hartu zasad wplatanych w życie czynu. Jeśli spotyka się u nas więcej może niż gdzieindziej, ludzi uczciwych i zacnych w gruncie— to wyznajmy szczerze, poczciwość ich częściej graniczy z dobrodusznością. Są to ludzie owi *dobrego*

*serca*, są to najczęściej tuzinkowe indywidua, na które mało liczyć można.

Cóż częstszego, jak słyszeć z ust jakich ludzi, gdy mowa o czymś przechodzącym zakres najbliższych materyjalnych potrzeb?..

—,,Bardzo to piękne—ale chleba nie daje!" albo: „nie nam to o takich rzeczach myśleć."

Niski jakiś czyn, półśrodek graniczący z podłością nie oburza ich, nie obraża ich godności własnej. Gotowi są rzec wtedy:

— Co robić, taki świat teraz! Ludzie przecie żyć muszą". Nie mają nawet odwagi do protestu przeciw złemu, czyliż ją mieć mogą do wprowadzenia w życie dodatniego żywiołu, do pełnienia nieugiętych prawd obowiązku, i wyznawania szlachetnej prawdy w czynach? Czy tacy ludzie mogą stanowić tamę bezwyznaniowości? Czy nie są raczej pośredniemi istotami, naginającemi się do niej przez swą bierność.

Pomiędzy mnóstwem rysów malujących dosadnie nasz charakter, jest jeden szczegół, utarty w naszej mowie potocznej, nad którym warto się zastanowić. Mianowicie—kogo zwykle nazywamy „mądrym"?

— „Mądry on" albo „nie głupi!" mówimy zwykle o kimś, co jakimś nędznym sposobem skorzystał z cudzego zaufania, przebiegł krętą ścieżkę do swego celu zamaskowanego pozorami, w ogóle o ludziach którzy wszystkie siły swego umysłu skierowali na podchwytanie materyjalnych korzyści, śmiejąc się w duszy z dróg wytkniętych przez zasady, moralność, sumienie, obowiązki.

Przed takimi skarłowaciałymi istotami, stajemy pełni dobroduszczego podziwu, jak ów chłopek drapiący się za ucho, gdy spostrzegł wreszcie zręczność oszusta który go wyzyskał.

— „Mądra psiawiara" mówi „gdzieby się to człowiek spodział."

Lud nasz rzeczywiście chytrość bierze za jednoznacznik „mądrości" a przekonanie ogółu odbija w sobie takie mniemanie, tak iż przymiot „mądrości" przypisywany komu czyni go dla nas człowiekiem niebezpiecznym wzbudzającym w nas obawę częstokroć daleką jednak od pogardy. Nie czujemy tu zapewne pociągu do tego rodzaju mądrości, jakoby niedostępnej nam z zasady naszego charakteru—ale też z drugiej strony nasze ideały i pojęcia o wyższości dróg prawych w życiu przy porównaniu ich z owym „sprytem złodziejskim" blakną, jakoby nie budząc w nas gorącego uczucia wyższości prawdy nad fałszem. I z tej więc strony nie jesteśmy zabezpieczeni od upadku zasad, od bezwyznaniowości, a główną dla niej bramą na rozcież otwartą jest właśnie ta *luźność* charakterów, którąśmy *szlachetczyzną* nazwali.

Jeżeli jako definicyją *złego* przyjmujemy, iż ono jest osiągnieniem rzekomego dobra łatwiejszemi środkami niżby tego rzeczywiste wymagało, to smutny przedstawia się widok dla istot lubujących się przedewszystkiem we wszystkiem co łatwo przychodzi. Przekonania i zasady okażą się tu ciężarem, który niezawadzi od czasu do czasu składać na stronie, sumienie—starym poczciwcem, w którego łatwo wmówić co się podoba a obowiązek — pracą pańszczyznianą, niewdzięczną i nie powabną.

Powoli, wyjątek stanie się normą. Ponieważ firmament nie wali się na grzesznika—przeciwnie nawet, lepiej się mu dzieje — a więc rzecz bardzo prosta, że nie tylko można, ale rozsądną jest rzeczą pozbyć się wyznań i skrupułów, które mogą sobie zostać jako firma dla świata. Tą drogą człowiek, dyletant w życiu, choć z najlepszem sercem dochodzi przez pośredni stan bezbarwności, do bezwyznaniowości zupełnej, jak ów wolnomyśliciel, który wychodząc z zasady, iż w piekło nie wierzy, sądzi się upoważnionym żyć nieuczciwie i nikczemnie.

Wobec bezbarwnego charakteru ogółu, bylibyśmy zupełnie bezbronni ze strony zasad gdyby nie zbawiające nas jeszcze szlachetne instynkta, nie głos serdeczny uczuć, odrzucających nas od brudów moralnych, tam gdzie już nawet przekonania, gdzie siła umysłu nie protestuje. Serce nasze zawsze lepsze bywa od głowy i tym razem zbawia nas, ale jakież to zbawienie! Jakaż nam pociecha stąd, że mniej, niż gdzieindziej spotyka się u nas krańcowego wyuzdania, jeżeli ogólny poziom, że tak powiem przeciętna naszego życia i wielonych w nie sił moralnych zniża się? W najlepszym razie jesteśmy sobie ni źli ni dobrzy, żyjemy we wszystkich objawach społecznej działalności tak, jak by nam już sił nie starczyło do wyjścia po za wegetacyją i ledwie wystarczającą na dziś działalność ciągniemy taczkę życia, wśród tysiąca braków i zaległości.

Gdzież zasady nasze, gdzie dźwignie moralne, któremi dumni się czujemy zawszeż wmawiać będziemy w siebie że istnieją ukryte—gdy nam ich na codzienny użytek braknie? Strzeżmy się, aby zamiast skarbów nieodkryły się pustki w tej tajemniczej skrzyni.

Indyferentyzm w życiu pojawia się u nas coraz wybitniej. Wzdrygamy się tu rzucać taką skargę na ogół—może to są tylko liczne jednostki rozmaitego pokroju. Obok indywiduów, udających że czerpią moralność i cnoty społeczne ze źródła wiary—której ducha w sercu nie mają, stoją fałszywi prorocy wiedzy i postępu, obok fanatyków czepiających się ślepo formułek dogmatu, symbolów prawdy z zamkniętemi na nią samą oczyma — bezmyślne istoty samopas biegnące za nędznym celem użycia manekiny których jedynem prawem jest opinija świata i jej wymagania, równie jak stworzenia słabe popychane lada powiewem. Ale najboleśniejszym jest tu widok ludzi zacniejszych w gruncie, czujących w duszy wyższe pragnienia—a niezdolnych jakby w letargu dać znaku życia i oprzeć się prądowi, który ich niesie do tegoż samego, co i tam tych ujścia. Do tych tylko jeszcze, do stojących na pochyłości odezwać się warto. Ale do pierwszych jakimże głosem przemówić można jeżeli dla nich głos sumienia, głos prawd i zasad najświętszych jest niedość zrozumiały i silny?..

*Hen. Perzyński.*

# ŚLADY ŻYCIA.

## XXIX

Tyle życia, ile... w c z y n i e.

Nie ma boleśniejszego ciosu nad ten, jaki zadają gromy potępienia, a tem bardziej jeszcze, jeśli wychodzą z pięknych rozgniewanych usteczek. Tak smutny los spotkał felijetonistę waszego, który śmiał lekką szatą ironii dotknąć niewinne duszyczki uroczych aniołków.... duszyczki jaśniejące pierwotną czystością i nieskazitelnością. Honor niewieściego rodu został srodze obrażony i zewsząd posypały się ostre słówka. Po długich debetach zażądano wreszcie zadosyć uczynienia, a mianowicie zawyrokowano, abym dla równowagi napisał coś równie nieprzychylnego i na brzydszą połowę rodu ludzkiego. Pragnąc ułatwić mi tę pokutę, jedna z grona surowych sędziów sama przytoczyła mi fakt właściwy, który oto tu, dla zmazania ciężkich win swow obec Boga i uroczych cór nieba w całości przytaczam:

Wyobraźcie sobie, łaskawi czytelnicy, towarzyskie grono płci obojga. Dziewice urocze młodzież elegancka. Dziewice nudzą się, młodzież pragnie je zabawić. Szczególniej jeden z ich grona odznacza się nieporównanym dowcipem. Nektar to wprawdzie nie oryginalny, lecz czerpany z bogatych skarbnic francuzkiej i ojczystej literatury humorystycznej, która stanowi wyłączny przedmiot głębokich studyjów eleganckiego młodzieńca: Elegancki młodzieniec kochał się i to mu jeszcze więcej dodawało dowcipu. Elegancki młodzieniec był po dobrej kolacyjce, uczuł się więc napełnionym aż po uszy wesołością i humorem. W tak rozkosznem usposobieniu rozprawia o wszystkiem! o miłości, poezyi, sztukach pięknych i wielu innych pięknych rzeczach. Nagle jakieś wesołe dziewczę, wtrącając się do rozmowy, zwróciło się do mówiącego dziwnie satyrycznym uśmiechem i spytało żywo:

— Którego z poetów pan wolisz, panie Kazimierzu, Syrokomlę czy Kondratowicza?

Tak niespodziewany alarm do nieprzygotowanej erudycyi dziwnie zdetonował wymownego młodzieńca. Wkrótce jednakże zdołał się nieco opamiętać i odrzekł nieśmiało:

— Ja... pani... lubię obu.... Zresztą to zależy od gustu!...

Ogólny wybuch śmiechu przerwał te pełne erudycyi słowa i zupełnie już zdetonował nieszczęśliwego młodzieńca. Uśmiech wesoły zniknął z oblicza, dowcip opuścił zajęty smutną medytacyją przybytek myśli p. Kazimierza.

Otóż macie, okrutne czytelniczki, żądane zadosyćuczynienie, i oby wam nieba przebaczyły ten grzech, jaki spadł na duszę moją. Przebacz mi, o szlachetna młodzieży, o... boś ty bardzo szlachetna; nie wahasz się nawet poświęcić wolne chwile życia dla spełnienia funkcyi prawdziwie obywatelskich. Tak... dowiedzieliśmy się o wszystkiem pomimo iż z godną uwielbienia skromnością ukrywaliście swe zacne dążności. *L'union fait la force*, jak

# OMANKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

**Jana Zacharjasiewicza.**

(Ciąg dalszy.)

Zwinąwszy kartkę udał się Floryjan ostrożnie do gabinetu. Szambora nie było. Przez drzwi odchylone widział w zwierciadle nieznajomą. Siedziała w tej samej postawie i tak samo na niego patrzała. Widocznie czekała odpowiedzi.

Ostrożnie wsunął rękę przez szparę i z bijącem sercem złożył na stoliku zwitek papieru.

Teraz potrzeba było przeszkodzić, aby Szambor pierwszy do tajemniczych komnat nie przyszedł. Przymknął więc drzwi a sam wybiegł naprzeciw gospodarza, który właśnie z salonu dążył do gabinetu.

Gospodarz trzymał list w ręku i miał czoło zmarszczone.

— Niedobrą mam nowinę — rzekł do Floryjana — pisze mi Salomea, że Rabsztyńska niebezpiecznie chora!

Floryjan westchnął i spuścił oczy do ziemi. Szambor patrzał na niego z uwagą czas niejaki. Potem odszedł do salonu przyrzekając że wkrótce powróci.

Korzystając z tej sposobności zbliżył się Floryjan do szyby zwierciadlanej, ot i przyłożył ucho do ram czarnych.

Zrazu było tam cicho. Po chwili słyszał Floryjan ciche skrzypnięcie drzwi i zdawało mu się, że ktoś w cichych pantofelkach zbliżył się do drzwi i potem odszedł. Słyszał nawet lekki szelest sukni jedwabnej...

Nie mógł dłużej słuchać, bo do salonu z bocznych pokoi wszedł teraz Szambor i zmierzał wprost do gabinetu. Floryjan odskoczył od drzwi.

Szambor miał na twarzy uśmiech ironiczny. Podał Floryjanowi cygaro i rzekł do niego:

— Wiadomość o chorobie Rabsztyńskiej bardzo mnie zmartwiła. Broń Boże śmierć na nią, Salomea będzie bez kobiecej opieki. Biedna sierota!

Mówiąc to patrzał z uwagą na Floryjana. Floryjan niepodnosił oczu z ziemi. Twarz jego zarumieniła się jakby od wstydu lub jakiego innego przykrego wzruszenia.

— Pani Rabsztyńska często słabuje — rzekł po chwili nie należy się więc obawiać, aby zaraz co złego z tego wyniknąć mogło!

— W samej rzeczy, odparł z ironiją Szambor — cóż złego może się stać kobiecie siedmdziesięcioletniej? Najwięcej, że umrze, a to przecież w tym wieku nie jest tak wielkie nieszczęście! Chodzi mi tylko o Salomeę...

Floryjan ugryzł kawałek cygara.

— Gdyby Salomea mogła wyjść za mąż, mówił dalej Szambor — za człowieka zacnego i poczciwego, który własną pracą i nauką dźwiga się do góry — to wiadomość dzisiejsza niebardzo by mnie przestraszyła! Ale tak, jak dzisiaj rzeczy stoją... cóż pan na to panie Floryjanie?

Floryjan zwilżał właśnie cygaro, aby się nie rozwijało. Robota ta szła mu z oporem, cygaro rozwijało się ciągle.

— Cóż ja na to mogę powiedzieć, rzekł po chwili, przecież panna Salomea może znaleść człowieka zacnego....

— Zacność jest bardzo względną. Kupiec jest także zacnym człowiekiem, jeżeli dobrze rachować umie.

— Nie wiem do czego pan to stosujesz?

— Stosuję to do dzisiejszego otoczenia Salomei. Mogą w tem otoczeniu być ludzie bardzo zacni, ale dla tych zacnych ludzi jest fortunka Salomei zawsze bardzo dobrym rachunkiem!

Floryjan spuścił oczy do ziemi.

— Czy masz pan kogo na myśli? zapytał po chwili.

— Myślę o pewnym aplikancie — odpowiedział spokojnie Szambor — o którym pisała mi Rabsztyńska, że się stara o Salomeę. Czy znasz go pan?

Twarz Floryjana ożywiała się. W sercu uczuł dziwne wzruszenie. Szambor patrzał na niego okiem badawczem.

— Aplikanta znam — odparł po chwili Floryjan.

— Czy to rzeczywiście jest człowiek tak zacny?

— Tak... właściwie... nic mu ująć nie można!

— Pan uznajesz więc wybór Rabsztyńskiej za dobry?

— Tak... gdybym miał prawdę powiedzieć, ale z resztą przecież i panna Salomea ma prawo wyboru!

Floryjan wstał z fotelu, bo uczuł w sercu wielki niepokój. To o czem się kilka tygodni czasem marzyło, a co tam śród tego czasu na dnie osiadło — podpłynęło teraz nagle pod wierzch.

Wszak on Salomeę kochał czy kocha jeszcze — a teraz jest wielkie niebezpieczeństwo że ją stracić może! Czyżby niedobrze było korzystać z tej chwili i opiekunowi wyraźnie wyznać to wszystko, o czem się dotąd marzyło?

Po przed oczy Floryjana przesunął się teraz cichy, biały dworek z ogródkiem! Nie było na nim ani baszt średniowiecznych ani mostu zwodzonego — a mimo to miał urok szalety szwajcarskiej, będącej siedzibą cichego szczęścia!... Salomea wyglądała także tak uroczo!...

Floryjan zaczerpnął głębokiego oddechu i podniósł oczy do góry. Spotkał się z bystremi oczami Szambora i zwiesił je czemprędzej na szybę zwierciadlaną.

Ach ta fatalna szyba zwierciadlana! Jakże dziwne odbiły się teraz w niej obrazy?... Migające gałązki akacyi, któremi wiatr za oknem poruszał, rysowały na tej szybie takie cudowne rzeczy!....

Tak uroczy dramat zakrywała przed nim ta szklanna kurtyna! Czyż ma się wyrzec tego wszystkiego, co tam ukrywa się dla niego?

---

powiada jeden francuz, który się tam... jakąś ekonomiją zajmował. Otóż zebrawszy się pewnego razu na *górce*, przy ciężkiej pracy nad piramidką, przypomnieliście sobie tę zasadę i wnet przyszła wam świetna myśl do głowy. „Czekajcie, panowie dziennikarze, wy, co to tak krzyczycie na nas, że tam waszych bazgrot nie czytamy, a do książek nie bardzo zaglądamy. Czekajcie! Pokażemy wam, że i my się na coś przydać możemy ba.... że nawet czasami więcej od was potrafimy zrobić. Krzyczeliście np. na to, że kobiety noszą ogony, no i cóżeście wykrzyczeli, czy obcięła która? Otóż my... my zdziałamy to, o coście się wy daremnie kusili, my zmusimy nieubłagane zwolenniczki teoryi Darwina do właściwej metamorfozy naturalnej. Wszystkie małoletnie i jednoletnie sroczki pozbawimy ogonów!"

*Veni, vidi, vici*, co znaczy po polsku, *powiedziano* i *zrobiono!..* Utworzyło się towarzystwo z młodzieży nieposzlakowanej elegancyi i szyku. Pierwszym warunkiem, aby należeć do tego szlachetnego grona, jest mieć wolne wszystkie chwile wesołego żywota, aby wyłącznie poświęcać je dla dobra cierpiącej ludzkości. Obowiązki stowarzyszonych są bardzo proste: Każdej sroczce oberwać ogonek za pomocą przydeptania nogą, nie zwracając uwagi na najgwałtowniejszy protest i oburzenie, i przeprosiwszy z należytą elegancyją, najspokojniej iść dalej. Ciągła a usilna praca w tym kierunku ma doprowadzić do pożądanych rezultatów, a wtedy — wtedy, o zacna młodzi potomność wystawi ci pomnik, na którym złożone będą największe trofea twych czynów, a pamięć walki dokonana przez ciebie, przejdzie do potomności, i wnukowie z zachwytem opowiadać sobie będą dzieje *ogonowej krucyjaty*.

Ale przystąpmy do innych spraw z ulotnych dziejów Warszawy. Jedynie prawie berło trzyma tu oddawna urocza Melpomena, która już po wszystkich krańcach grodu naszego rozpostarła swe znamiona. Młodsze Melpomenki, poparte potężną protekcyją Brejbisza i Kijoka, ruszają się z werwą, produkując nam różnorodne płody wytwórczości scenicznej. Za to wspaniały rydwan miejscowej Melpomeny wlecze się zwolna i leniwo. I nic dziwnego bo oto najznakomitsi kapłani opuścili go, ulatując gdzieś w obce strony, aby pokrzepić nadwątlone siły. Zostało tylko kilku z ich grona i cała rzesza skromnych pracowników dla których nigdy nie ma spoczynku, chyba że imiona ich umieszczone będą na afiszu w spisie osób dotkniętych słabością. Tylko znakomitości mogą spoczywać po pracy. W każdym razie ci ostatni mogliby się urządzić w ten sposób, żeby opuszczać scenę kolejno, a nie wszyscy razem.

Tymczasem ogródkowa Melpomena daje nieośledne ślady życia. Najważniejszy przyjaciel papy Offenbacha p. Texel zaprodukował nam znowu jeden z utworów mistrza, wykwintniejszej zresztą barwy i woni. Nadobna „Księżniczka Trebizondy" celuje bardziej werwą i dowcipem, niż uroczymi tonami muzyki. W każdym razie obudziła wielki zapał w publiczności. O Offenbachu, gdybyś ty wiedział jak wielkich masz u nas wielbicieli, wnet byś pośpieszył do skromnego zaścianka naszego, aby jednym jeszcze listkiem przyozdobić wie-

Kto wie, do czego wybrała go Opatrzność, za co potem hojnie będzie wynagrodzony?

Floryjan postanowił nic nie wyznawać w tej chwili Szamborowi. Postanowił zaczekać, póki sytuacyja jego się nie wyjaśni.

— Powiedziałeś pan — mówił dalej Szambor — że Salomea ma także prawo wyboru. Zgadzam się z tem zupełnie. Gdybym widział że Salomea zeszła się z babunią w wyborze aplikanta, nic nie miałbym przeciw temu!

— Sądzę.... że tak nie jest!

— Jesteś pan tego pewny?

— Tak.... prawie pewny.

Szambor zamyślił się, Floryjan owijał ciągle cygaro nieposłusznym liściem.

— Możnaby stąd wnosić — mówił po chwili Szambor — że Salomea coś sobie w głowę nabiła. Zależy od tego czy to jest dobre czy nie....

— Sądzę — podjął szybko Floryjan — że w takim razie tylko czas może być próbą tego.

— Masz pan słuszność. Wrażenia nasze są często złudne. Dzisiaj wszystko prawie obliczone jest na efekt. Wyobraźnia unosi nas w pierwszej chwili jak rumak nieokiełznany, a gdy jej zaufamy, poznajemy za późno, żeśmy sami siebie i drugich oszukali! Dla tego zgadzam się zupełnie z panem, aby to wszystko zostawić czasowi, byle tylko ten czas złowrogi, starej Rabsztyńskiej jakiego figla nie wypłatał!

— Sądzę, że będzie wyrozumiały — zakonkludował Floryjan z uśmiechem, bo taki zwrot rozmowy był jeszcze dla niego najlepszy.

I na tem skończyła się rozmowa.

## XXIV.

Od tej rozmowy minęło dwa tygodnie. W znanym już kierunku wikłała się sytuacyja Floryjana coraz więcej. Fantastyczny stosunek z nieznajomą „Elmą“ zacieśniał się coraz więcej — coraz słabiej walczyło wspomnienie białego dworku i bladej Salomei — a coraz ponętniej występywał starożytny zamek nad Dunajem!....

Gorąca wyobraźnia artysty przyozdabiała ten zamek w rozmaite akcesoryja z niesłychanym przepychem. Z niemniejszym przepychem ubrał także właścicielkę tego zamku i poił się rozkoszą niezwykłych blasków, które z tego wszystkiego spadały także i na niego!

Marzenia takie żywiła w duszy artysty sama piękna nieznajoma. Znaną już drogą otrzymywał od niej od czasu do czasu małe zwitki papieru, a w tych zwitkach było tyle szczęścia dla niego! Wprawdzie słowa tam wypisane były ciemne i zagadkowe — ale pozwalały przecież domyślać się tych wszystkich dobrych rzeczy, jakich pragnęła wyobraźnia młodego artysty.

Artysta odpowiadał na te słowa pół-urwane, na te myśli i pragnienia zaledwie zaczęte, również mową niejasną i elastyczną, jaką była gra na wiolonczeli — a że mowę tę dobrze zrozumiano, to jest, że ją sobie dobrze wytłumaczono, dowodził zaraz następny zwitek papieru, położony przy otworze drzwi, tak tajemniczo zawsze odchylanych!.... Na zwitek odpowiadał także i Floryjan zwitkiem, i z biegiem dni jesiennych przyszło wreszcie do tego że rozmowa zwitkowa stawała się coraz jaśniejszą coraz więcej zrozumiałą.

Już nie było żadnej wątpliwości, że piękna nieszczęśliwa Elma zakochała się w artyście. Wyraźnie mówiła już o tem w zwitkach papieru. Chodziło już tylko o koniec tego fantastycznego stosunku dwojga serc.

Po długich walkach i niepokojach — po ustawicznem majaczeniu i zacieraniu się białego dworka z bladą Salomeą w oknie — po spełzłych na niczem postanowieniach, aby z Szamborem o Salomeę ostatecznie się rozmówić — przyszedł wreszcie Floryjan do przekonania, że piękną nieznajomą kocha, i że starożytny zamek nad Dunajem z rąk niegodziwego opiekuna dla dobra ludzkości wyrwać może. Winien to był sam sobie, winien najwyższej świata sprawiedliwości, która go w sposób tak dziwny wybrała za narzędzie!

Elma sama wspominała w zwitkach swoich o tem — Floryjan nie mógł się cofnąć.

Gra jego była teraz pełna marzeń rozkosznych — układał sobie całą przyszłość swoję w kolorach tak ponętnych!... Oczy Elmy były czarne, włosy czarne, i zamek starożytny z basztami był czarny jak dąb kilkowiekowy schowany do wody! Prawdopodobnie i czarne, bukowe lasy otaczały szeroko ten zamek do koła, szeroko póki tylko oko zasięgnąć może!.. W tym lesie widział fabryki wodne i parowe, widział wodospady zielone i buchające dymem kominy... słyszał stuk i łomot warsztatów.... ach jakiż to obraz pełny życia!... Jakże cicho odbija od niego ten dworek biały z dziesięcioma topolami i bladolicą Salomeą, która nawet czarnych oczu nie ma!...

Floryjan wstrząsł długie włosy jakby ujrzał coś nieprzyjemnego. Jakaś pstrokata gadzina przesunęła się nagle przed nim po drodze... i znikła w ciemnych krzakach.

Tak stały rzeczy, gdy do Szambora nadszedł list z miasta powiatowego. List ten przyniósł umyślny posłaniec pocztowy.

Mieścił on w sobie wiadomość bardzo smutną. Salomea prawie w rozpaczy pisała do opiekuna, że za kilka godzin zostanie prawdopodobnie zupełną sierotą na świecie. Babunia bowiem była już opatrzona sakramentami i lada chwila czekała tylko rozstania się z tym światem na zawsze.

Prawdopodobnie z tego powodu list Salomei był przepełniony goryczą. Widać w nim było krwawe łzy sieroty, rozdarte serce i duszę w rozpaczy pogrążoną.

Czy ta gorycz wypłynęła tylko z obawy grożącej śmierci babuni, czy źródło jej dalej sięgało — trudno było się dowiedzieć. Zdaje się, że jakiś ból wyższy — jakaś dumna niechęć przyznania się do tego bólu, zapierała jej usta, przez które żadne zdradliwe słowo nie wyszło.

Gdy Szambor ten list odebrał, rozesłał kilka depesz i wydał w domu pewne prawdopodobnie do tego listu odnoszące się rozporządzenia.

---

niec chwały, któremi wdzięczna dziatwa XIX wieku mistrza swego przyozdobiła.

Z innych nowin zaznaczymy jednę tylko. Oto łaskawe słowiki południa, synowie uroczej Italii postanowili wspierać kolejno ogródkowe przybytki Melpomeny. Wkrótce opuszczają Tivoli i przenoszą się do Alhambry, a stamtąd zapewne i do Eldorado zawitają, aby oceniwszy czułą nutę włoskiej pieśni z wesołym tonem Offenbachowskiego kankana, tem silniej zaalarmować groszodajną publikę. Rzeczywiście przynieśli oni z sobą widocznie jakiś talizman, przyciągający publiczność. Tłumy nawiedzają Tivoli w dniach, kiedy włosi śpiewają. P. Grabiński aż ręce zaciera z radości. Tymczasem ktoś inny, obfitszem zapewne ziarnem nęci to wędrowne ptactwo.

P. S. W tej chwili, dowiadujemy się, że szan. synowie Italii postanowili pozostać w Tivoli.

---

Ze wszystkich stron słyszymy głosy spragnionych świeżego zdrowego powietrza, lubowników natury, zieloności pól i drzew—w naszem mieście skrzętna administracyja korzysta z najdrobniejszego placu, i obsadza go drzewami, tworzy na prędce szpalery, aleje, murawy, niedługo Warszawa może się nazwać *miastem ogrodów!* Lecz urocza zieleń ich ulega niekiedy smutnemu losowi pod okrutną dłonią indywiduów, nie umiejących poszanować własności publicznej, co się zdarza tak w naszym grodzie, jak i na prowincyi. Niedawno czytaliśmy skargi na wyrwanie z korzeniem drzewek, któremi *szosa* była obsadzona, to znowu w *Radziejowie, Rada gminna postanowiła skasować ogród w rynku*, teraz zaś przychodzi nam mówić o niedbałości w samej Warszawie a mianowicie o *Ogrodzie Krasińskim*. Już to niewiadomo dla czego, piękny ten ogródek jakoś łaskawie ochraniają od wandalicznych *loteryj fantowych* i prawie poszedł w zapomnienie, choć posiada cień i świeżość. Gęsto obrosły drzewami wielkiemi miłem stałby się schronieniem, gdyby ulegał cokolwiek baczniejszemu gospodarstwu. Pominęmy stosy ludzi, dość niegrzecznie zastępujących wejście do ogrodu, pominęmy gromady dzieci i żydziaków, bawiących się w piłkę i rzucanie doń sporych kamieni, pominęmy niechlujstwo na ławkach, niezwracajmy nawet i na to uwagi, że wiele z nich, ze starości się już rozpadło — alеż owe ścieżki po trawnikach, ta ciągła peregrynacyja po murawie i młodszych i starszych, obrywanie kwiatów i łamanie gałęzi, jest karygodnem postępkiem. Toż to nie ogród ale śmiecisko wstrętne. Nie dosyć, że wszelkiego rodzaju osobistości i ubrane i obdarte i w atłasach i w łachmanach plączą się po alejach, ale nadto na ławkach w stanie pierwiastkowej prostoty, śpią sobie wygodnie *różne* indywidua płci obojga, zwłaszcza w godzinach bardzo rannych i południowych. Czy podobne nadużycie może być cierpianem? Niezbyt też zbawiennie wpływa na zdrowie pijących wody, gdy przejeżdżające wozy z cegłą i mlekiem wzburzą tumany kurzu, a ogony naszych piękności dopełnią reszty. Wreszcie, któżby się odważył przejść boczną aleją przy studni, gdy mamki i innego rodzaju egzemplarze zalewają się wodą — czerpiąc ją szklankami, garnkami, butelkami, a

Rozporządzenia te sprawiły w całym pałacu ruch niezwykły. Gotowano podwody i pakowano w duże kufry jakieś rzeczy do przewiezienia.

Floryjan spostrzegł z swego okna ten ruch i zeszedł na dół do pałacu.

W dolnych komnatach nie znalazł Szambora. Wkroczył do gabinetu.

W gabinecie usłyszał nagle ciche kroki, po chwili odchyliła się szklanna tafla — i znowu te same kroki oddalały się szybko do drugiej komnaty.

Floryjan zbliżył się do drzwi. Zwitek papieru jak zwykle leżał przy progu — ale w zwierciadle już nikogo nie było widać. Drzwi do drugiej komnaty były zamknięte.

Rozwinął prędko zwitek.

— „Mój drogi — pisała tajemnicza Elma, twoja próba skończyła się. Jeszcze tylko dwa dni czasu oddziela nas od siebie. Uzyskałam pełnoletność a jutro o świcie odjeżdżam w towarzystwie dalekiej krewnej do Wiednia, aby tam pod protekcyją pewnej wysokiej osoby ukończyć mój proces. Dotrzymałam przysięgi że tutaj osobiście z tobą mówić nie będę — ale po za granicami tego domu nie wiąże mnie ona. Spiesz zatem za mną, a jeżeli podejrzliwy Szambor nas od siebie na chwilę rozłączy, to daję ci znak, za którym najpewniej za mną zdążysz i mnie w Wiedniu odszukasz. Oto wyjdą za mną rzeczy, między któremi najznaczniejszą będzie duża paka, oznaczona znakiem: B. C. Nr. 5,674. Na kolei żelaznej miej oko na tę pakę. Ona zaprowadzi cię do mnie, mimo wszelkiej podstępnej ostrożności Szambora. Twoja na zawsze Elma — od dzisiaj prawowita dziedziczka zamku i dóbr Késmàrk nad Dunajem.“ —

*d. c. n.*

# OBRAZY SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO

## w XII i XIII wieku

szkicował

Ernest Świeżawski.

I.

### Wojna niewieścia.

(ciąg dalszy)

### Salomeja hrabianka Bergen.

Podpisy wspomnione synów biskupa i arcybiskupa zdają się być wskazówką szkopułów na jakie ta kwestyja natrafiała. Inni są jednakże zdania, że podpisy owe wyrażają stan *quo ante*, i że synowie antydatują niejako godności swych ojców, którzy w chwili ich urodzenia byli świeckiemi.

Na akcie Salomei stojący podpis arcybiskupa Jakóba okazuje gdzie się jego uczucia zwracały. Nie inną ma doniosłość podpis Wszebora, który inną jest osobą od krewniaka Dunina a jeszcze 1165 r. jako wojewoda znany był, dalej podpis Zbiluta, który należy do dobrodziejów klasztoru Cystersów, założonego przez się r. 1153 w Łeknie, Degno który uposaży jeszcze Trzemeszeńskich augustyjanów 1155 czy 1159 r. Radzisław podpisany na akcie Radziejowskiej darowizny podaruje z czasem Skaryszów, a w nim kościół, targowe i karczmę bożogrobowcom w Miechowie. Zaledwo nazwiska wiemy Zyzemy i Cechawego, ostatnich imiennie wspomnianych świeckich świadków czynności dobroczynnej Salomei. Chyba by Zemma brat Pawła, z 1159 (1165) r. nadający Rypin i Lisiec temuż Mogilnu, był tym Zyzemą.

Wspomnieliśmy o tym fakcie niepierwszorzędnym dla tego, że on uwydatnia prawne stanowisko kobiet w naszym kraju. Musiała być Salomeja właścicielką ziemską, gdy mogła ziemią uposażać kościoły.

Wzmianka o przeznaczeniu kupna dokonanenego w Mogilnie na rzecz N. Maryi P. dowodzi prawomocności tego rodzaju tranzakcyj, choć je dokonywały kobiety. Jakób arcybiskup przez klątwy groźbę dodaje tylko grozy aktowi Salomei. Nie żeby opatrzeć go jakąś obcą jej dotąd prawomocnością, ale zwykłym obyczajem przy takich darowiznach kościołowi czynionych, zachowywanym, formułę klątwy wypowiada, dodając do powagi ŚŚ. Piotra i Jana, swoją arcybiskupią, dla powstrzymania śmiałków od napaści na akt Salomei..

Stanowisko to prawne kobiet już w dwunastym wieku wynika i z drugiego aktu, w którym Salomeja występuje jeszcze jako pośredniczka między swemi synami. Mianowicie, zjechali się byli Mieszko stary i Bolesław Kędzierzawy w miasteczku Kwieciszowie, w celu wytknięcia granic między swemi dzielnicami. Snać u Mogilna i Bydgoszczy spotykać się musiały, skoro ów Kwieciszów był spornym. To jeden, to drugi brat chciał go do swych państw wcielić. Salomeja tak ten spór załagodziła, że na obu swych synach wymogła ustąpienie Kwieciszowa sobie.

Gdy stanęła na ten układ zgoda, przystąpiono do uroczystego wytknięcia granic nowego dziedzictwa Salomei. Całe książęce grono ze swym orszakiem obchodziło grunta Kwieciszowskie — sypano kopce, i na nich kładziono kamienie na znak wytkniętych kresów. Na tych kamieniach wykuwano stopy, tak że niekiedy kamień zwał się „lec“, zaś rodzaj trzewików „leczske“ co pewien związek wykrywa między oboma. Tak pod Radomiem na gruntach wsi Niemianowic leży kamień, „ze śladem buta,“ zapewne dawny graniczny. O pięć wiorst od Jedlni w lesie jest wykuty na kamieniu ślad trzewika plebana który tym sposobem 1712—13 roku udowodniał swe prawa do lasu położonego między kamieniem nad rzeką Rzekietką a leżącym w miejscu „Piecnik” że ostatni śladem jego trzewika na jego żądanie oznaczono. Szczegół ten zapisał z podania X. Gacki w opisie Jedlni (1875). Bardzo często

---

nawet konwiami! Do ogródka cukierni zbliżyć się niepodobna, bo znowu obrzydłe wyziewy zalatują od strony tak zwanej lodowni. To we dnie, a cóż dopiero mówić wieczorem. Krzyk, hałas, nawoływania jakby w czasie obławy, jakieś gonitwy, klaskania w ręce i jeszcze coś więcej, odstrasza osoby, nie pragnące być świadkami bezecnej donżuaneryi, i sprawia to, że wkrótce, *prócz wekslarzy*, nie wykwintnej płci pięknej i donżuanów niższego rzędu, nikt do ogrodu Krasińskiego nie zajrzy!

Wartoby pomyśleć o usunięciu tak ważnych niedogodności, a ogród ten stanie się pożądanem miejscem odpoczynku dla okolicznej ludności.

---

Krzyczymy głosem wielkim na zagranicznych przybyszów, którzy, odejmując nam od ust kawałek chleba, często lekceważą nawet dłoń która im go podaje. Lecz niekiedy podobno sami zapominamy o narodowym honorze naszym. „Drang nach Osten“ — to okrutne widmo, które nam wiecznie zagraża. Lecz z jaką uprzedzającą grzecznością obchodzimy się niekiedy z jego *kulturträgerami*. Jako przykład przytoczyć możemy fakt następujący:

W ogródku który nosi miano „*Foksalu*,“ grywa orkiestra p. *Sonnenfelda*, składająca się w znacznej części z polaków i kilku tylko prawych synów Germanii. Widocznie jednak miejscowa większość czuje wyższość przybyszów, gdyż z uprzedzającą grzecznością stosuje się do nich pod każdym względem, a nawet, łamiąc sobie niepotrzebnie język, „ćwiczy się dla ich miłości w ojczystej mowie „Vaterlandu.“

---

O święty przybytku poezyi, czemu nie stawiasz u wrót swoich stróża, któryby nie wpuszczał do twych ołtarzy niepowołane indywidua, które kalają je nędznemi produkcyjami rymowanej gimnastyki języka. Ot np. jeden z podobnego rodzaju wierszopisów opiewa potęgę „jednego imienia,“ gdyż:

„Każdy w księgę żywota,
*Wpisał dźwięki (!)* imienia,
*Przy którem jest tęsknota*,
I najsłodsze wspomnienia.“

Dalej coś więcej jeszcze dowiadujemy się o tem imieniu:

„Ono — kapłan przeszłości,
Wiecznie swoje powtarza,
Z *pacierzami miłości*,
U pamiątek ołtarza.

To Imię — cudów siła,
*Walczy nawet z mogiłą (?)* (za głęboka [przenośnia).

Wskrzesza, co ona skryła,
*Co nie będzie — a było* (co za szczytna pro- [stota myśli i wyrażenia!).

Nie wiemy doprawdy, co bardziej podziwiać: czy głębokość myśli, czy świetność przenośni i misterność wyrażenia. Wszystko stawia twórcę tego płodu — pana *Adama Chodyńskiego* na wyżynie, której nie doszedł żaden z Częstochowskich wieszczów, i świadczy, że redakcyja *Kroniki Rodzinnej* umie niekiedy nader szczęśliwie odkrywać i popierać prawdziwe talenta poetyczne.

---

Ponieważ pisaliście o wielu księgarniach, w których urządzone są czytelnie, słusznie więc należy się głos i p. *Józefowi Rozendorfowi* dzieje czytelni którego są nader charaktery-

tym kamieniom przypisują cudowne pochodzenie. Tak w Kamionnie (lapis?) pod Wyszogrodem, kędy, na pograniczu swych dzierżaw Krzywousty śledził knowań brata swego, leży kamień ze stopy wykuciem, rzekomo św. Jacka. W czerskich Pieczyskach jest na płycie śl ad stopy N. M. P. podobnie jak w Słonimskiem, koło Żórawic. W Krakowie słynie kamień ze stopą Jadwigi. Herodot pisze o skałach ze stopą Herkulesa.

Prócz takich kamieni na kopcach, książęta własną ręką cechowali graniczne drzewa dla tem większej dosadności. Były to tak zwane w Polsce „ciosny"—w formie krzyża na Pomorzu 1174 r. zwano je „kneze (książęcia) granica." Na drzewach tych wieszano gwałcicieli granic, na kopcach w późniejszych jeszcze czasach biją dla pamięci młodych chłopców. Wedle dawniejszych opisów, wyznaczaniu granic towarzyszyła ludność najbliższych opoli (gmin) tak wyższego stanu, to jest rodowa, jak niższego, aby módz potem w razie jakiego sporu granicznego albo masą jako „osada" lub tylko „starcy" zaświadczyć o istotnym stanie rzeczy. Na znak, że Salomeja zostaje właścicielką Kwieciszowa, synowie mogli jej wręczyć „gałązkę zieloną," albo garstkę trawy, uszczkniętą z obecnego onej mienia, swoje kaptury lub rękawiczki i t. p. na znak zrzeczenia się swej władzy a „wwiązania" Salomei do Kwieciszowa.

Niesądźmy jednak, aby sama chciwość kierowała tutaj Salomeją w nabyciu od synów nowego mienia: niezadługo bowiem ofiarowała Kwieciszewo, wraz z dwoma przyległemi mu „źrebiami." *) Osejkowo i Pustwino, oraz wsią targową Cebar klasztorowi Augustyjanów w Trzemesznie. Owszem utrzymanie zgody między członkami swej rodziny mogło być głównym bodźcem Salomei do wywołania powyższej tranzakcyi na swą korzyść. Gdyż zgoda tylko wszech członków mogła zażegnać niebezpieczeństwo grożące drugiej rodzinie Krzywoustego od Władysława i jego żony.

Wprawdzie, za świadectwem Ottona z Freisingen spółczesnego pisarza, „biskupi i dostojnicy zaprzysięgli Bolesławowi III" utrzymanie jego woli w rzeczy podziału. Atoli aż nadto musiało być wiadomem rodzinie Krzywoustego, jak wątłą rzeczą dla panujących były rozporządzenia zmarłych ich poprzedników w rzeczy następstwa.

Rządził prawdzie Mieszko-Lambert pierwszy podobnie jak drugi wspólnie ze swemi braćmi, atoli smutne koleje tak Mieszka II, jak Ottona i Bezbryma składają już pierwszy dowód lekkomyślności ówczesnej w dochowywaniu woli ojców, i braku silniejszych uczuć rodzinnych w najbliższych nawet krewnych. Wygnanie macochy z pasierbami i drugim mężem przez Bolesława Magnusa przynajmniej znajduje jakąś równowagę w współrządach Władyboja czyli Włademarka z chrobrym synem Dąbrówki. Bolesław II Szczodry stracił jednego brata 1070 r. z drugim musiał rządzić ciągle, bo wyraźnie w kronice Gallusa napisano, że Władysław Herman „dopiero po śmierci braci sam panował." Tu więc na pozór zgoda istniała między spółrządzcami. Niezapomnijmy jednak dodać, że jeżeli ostatnio wspomniany książę bezpośrednio nie otruł swego synowca, to w każdym razie moralnie jest współwinowajcą magnatów, którzy zgładzili pełnego nadziei syna wygnańca, byleby krzywd ojca niepomścił, jest winnym skoro za czyn ten haniebny nieukarał morderców.

Wreszcie Władysław II miał przykład na własnym ojcu, jak można się pozbyć spółrządzcy, bez żadnej obrazy praw narodowych. Podobnie mogli sobie postąpić jego bracia, i z tego punktu widzenia rzeczy działalność Władysława była nienaganną.

Przedewszystkiem też dzieci Salomei miały największą obronę w ustnej, że tak powiem konstytucyi, którą Władysław Herman nadał przy śmierci swemu krajowi. Gdy bowiem dzielił ziemie między synów, pytali się go panowie, którzyby z potomków zdawał mu się być bieglejszym w sprawach zagranicznych, to jest w wyznaczaniu od siebie i przyjmowaniu poselstw od obcych. Dalej chcieli dostojnicy wiedzieć który z synów, zdaniem Hermana celował w sposobie poboru wojska i hetmanienia onemu, oraz w różnorodnem zawiadywaniu tak wielkiem państwem? Na to odrzekł pytany: „dopełniłem mego obowiązku jako chory i stary, dzieląc między nich państwo, i zajmując się teraźniejszością. Bożej to mocy, nie mojej możności jest rzeczą stanowić jednego nad drugim, lub udzielić im zacności i mądrości. To jedno tylko pragnienie mego serca mogę przed wami wynurzyć, abyście wszyscy jednozgodnie, po mej śmierci ulegali temu, kto roztropniej i zacniej bronić będzie kraju, a nieprzyjaciół wojować. Tymczasem jako państwo, tak i władzę niech w równym udziale mają."

Po tych słowach, w kronice Gallusa, skąd powyższą wiadomość czerpiemy, następuje w jednej, dłuższej redakcyi jego dzieła waryjant wpisany albo po wygnaniu Zbigniewa, albo też po takimże usunięciu Władysława II z Polski, ile że te wypadki doskonale usprawiedliwia. Brzmi on jak następuje: „Wreszcie (mówił dalej Herman) jeżeli obaj nieokażą się zdatni lub przypadkiem w waśń popadną, ten kto złączy się z narodami obcemi i one na zniszczenie kraju naprowadzi ma być prawa dziedzictwa pozbawiony, i z kraju usunięty. Ów zaś na wieki tron państwa ma odzierżyć, kto lepiej o cześć i pożytek ziemi zabiegać będzie.

Otóż co do Władysława, to ten warunek bardzo właściwie doń można zastosować, ile że i Ruś wezwał, jak zobaczemy niebawem następnie w tym celu Niemców ściągnie nareszcie (co papież Eugieniusz III za „rzecz niesłychaną i nieludzką w owych czasach" uważał), Władysław zebrał tłumy „Saracenów" i z niemi ziemię chrześcijańską najechał. Zobaczemy później, co to by był za naród ci Saraceni. Obecnie zaznaczywszy, że, jeżeli polecenie Hermana jest autentyczne, Władysław

*) Źrebij (sors) jest to samo, co „linda" w płockiem, „huba" w wieluńskiem.

---

styczne i świadczą jasno o guście umysłowym publiczności naszej.

Pan Rosendorf, założył czytelnią wyłącznie polską jeszcze w r. 1871, w domu tak zwanym Roeslera, na Krakowskiem Przedmieściu. Pracując przez lat kilkanaście w zawodzie księgarskim obeznał się z usposobieniem publiczności; na przeszkodzie tylko stanął brak funduszów a raczej, jak sam utrzymuje obawiał się poświęcić cały majątek, aby z powodu ówczesnej konkurencyi, całkowicie go nie stracił. Że tak być mogło najlepiej przekonywał świeży fakt, że zwinął księgarnię a potem i czytelnię na ulicy Niecałej p. Bernstajn, choć należał do ludzi zamożnych i czytelnia obfitowała w dobór dzieł tak w języku polskim jak i francuzkim.

Że jednak urządzenie nowej czytelni zwłaszcza bez zastawu sprowadza zawsze jako nowość, sporo czytających — że nadto katalog p. R. był dość świeżymi dziełami wypełniony publiczność rzuciła się gromadnie co skłoniło p. R. do zakupu w Wiedniu sporej biblioteki do czytelni, a następnie do nabycia francuzkiej czytelni. Nareszcie p. R. wyjechał do Petersburga, celem zaopatrzenia się w nowości tamtejsze, mianowicie dzienniki i dzieła, w języku ruskim. Słowem w r. 1872 już czytelnia ta posiadała sporo ksiąg, wystarczając niezgorzej na potrzeby miejscowe. Kiedy zatem kółko czytających zwiększało się, do katalogów przybyły i dzieła poważne, specyjalne, obok prawie zupełnego kompletu klasyków polskich, niemieckich i francuzkich. Wprawdzie z następstwem czasu zmniejszyła się liczba prenumeratorów, a nawet o lepsze rzeczy już się nikt nie pytał. Jednakże p. R. nieodstręczając się i tem, zaprowadził u siebie nowość a mianowicie: abonament pism peryjdycznych, jako to: *Tygodnika Illustrowanego*, *Kłosów*, *Kolców*, *Biblijoteki romansów*, *Niwy*, *Przyrody i Przemysłu*, *Przeglądu tygodniowego it. d.* za bardzo niską opłatą, bo złoty miesięcznie. Tymczasem wkrótce pokazało się że niepodobna liczyć na jakie takie zyski a nawet na powrócenie kosztów. Abonentów na pisma zjawiło się aż *pięciu*, a po dwumiesięcznym przeciągu, został tylko *jeden* i w dodatku z owych pism wiele bardzo zaginęło, resztki mimo sporządzonych stosownych teczek, rozleciały się *w strzępki*.

Pierwsza próbą nie powiodła się, należało zatem zwinąć abonament. Tak też zrobił, natomiast sprowadzając nowy transport dzieł zakupionych w Kamieńcu Podolskiem. W r. 1875 przykupił znowu sporą ilość książek po zwiniętej księgarni *Neudinga* przy ulicy Rymarskiej. Tak że obecnie czytelnia posiada podobno 9,700 dzieł w czterech językach; z tych w jęz. polskim 3200, niemieckim 2000, francuzkim 2000, ruskim 2500, wartość około 10 tysięcy rubli. Nadto wszelkie nowości R. sprowadza skrzętnie i można śmiało powiedzieć, że nie ma jednej książki treści lżejszej aby jej nie znalazł w czytelni Rozendorfa. Za dowód posłużyć mogą bardzo starannie drukowane katalogi. Pytaliśmy się dla czego specyjalniejszych dzieł p. R. nie posiada na co odrzekł:

— Że nikt o poważną rzecz nie pyta, że nawet klassycy od początku założenia Czytelni, stoją na półkach wcale nieporuszani, że z po-

wnuk jego prawnie na takowego zasadzie mógł być wygnany; wskażemy inne środki ratunku nastręczające się prześladowanemu przezeń rodzeństwu.

Salomeja ujrzała po niedługiej próbie własnych rządów że sama ich brzemieniu niepodoła. Zwróciła się przeto do klasztoru Zwiefalteńskiego z prośbą, by raczył do niej przybyć tamtejszy braciszek Otto de Stuzzelingen którego jeszcze teraz przez pamięć dawnych stosunków nazywała „swym mistrzem naukowym.“ Słynął on między swemi radą i swadą; nazywano go mężem wzniośle mówiącym, rzecznikiem w kwestyjach publicznych najbieglejszym.

Około Bożego Narodzenia 1140 r. po wielu trudach i znojach w drodze zniesionych, przybył Otto z historykiem tej podróży Ortliebem i Gerundem braciszkami z tegoż samego klasztoru, do miasteczka Pajęczna. Tu z upragnieniem wyczekująca ich przybycia Salomeja, przyjęła swych gości „z należytym szacunkiem.“ Nieświadomy języka ziemi, którą mu niespodzianie nawiedzić przyszło, niezapisał nam nic Gotlieb o jej powierzchowności. Zaledwo skąpemi słowami doniósł, o „numidyjskim“ a raczej nomadów to jest koczowniczych ludów sposobie odbywania podróży, snać w jego ojczyźnie nieznanym. Odnosi się to do zwyczaju tak samo przez Gallusa charakteryzowanego że podróżujący monarcha nie stawał po domach swych poddanych, lecz po własnych grodach warownych, lub też w czystem polu, pod namiotem umyślnie rozbitym dla przejeżdżającego. Ludność okoliczna dostarczała tylko podwód (koni z wozami) oraz żywności, której zebraniem i przygotowaniem gminni rataje, mielniki, bartniki, łowcy, rybaki, piwowary, rzeźniki kucharze i t. d. zajmowali się.

d. c. n.

---

# Listy z praktyki nauczycielskiej.

## II.

(dokończenie)

Po śniadaniu przez parę godzin tylko prowadziłam lekcyją formalną ograniczającą się na samych początkach, aby poczynić przygotowania do prawdziwej nauki nadal i że tak powiem, oczyścić pole z bezładnych dawniejszych naleciałości. Nauka źle prowadzona, przyjmowana bezmyślnie pozostawiła w umysłach moich uczennic jakieś zamieszanie niedokładnych wiadomostek i spaczonych wyobrażeń. Ten cały chaos starałam się pozostawić na stronie i nieodwołując się w niczem do niego, od przygotowawczych prac zaczęłam naukę nawet z najstarszą uczennicą, która poznawszy w jak opłakanym stanie znajduje się jej główka, z serdeczną gorliwością i wiarą we mnie położoną, poddała się memu kierunkowi. Ileż biedaczka musiała pracować nad najprostszemi rzeczami, które małe dziewczynki systematycznie kształcone bez trudności pokonywają. Zdolność skupiania uwagi, rozumowania i kombinowania pojęć tak mało w niej były rozwinięte — że jej nieraz łzy stawały w oczach ze wstydu i żalu, iż dorosła już prawie panna, jeszcze silnem dzieckiem jest w rzeczach umysłu.

Gdybym pozwoliła na to, Helenka gotowa była całe dnie pracować nad sobą z prawdziwym zapałem; jednakże wierna zasadzie: „nie wiele, lecz gruntownie“, ograniczałam się na jak najmniejszych cząstkach nauki, opracowanych zato wielostronnie i wyczerpująco, popierając rzecz każdą mnóstwem wypełniających pogląd przykładów i piśmiennemi ćwiczeniami. Tym sposobem uczennica osiągnęła pewne punkta stałe, z których sąd jej wyrabiający się i wzmacniający jednocześnie, mógł obejmować dalsze widoki i postępować ku nim pewnym krokiem. Tak zwolna powiększając zakres nauki, co do czasu i ilości, powstrzymując raczej rwący się naprzód postęp, zamiast sztucznie go wzbudzać, otrzymałam skutki przechodzące nawet moje oczekiwania. Helenka pokonawszy pierwsze trudności, pojętnością swą zadziwia mię prawie i z coraz większą szybkością wyprzedza młodszą siostrę która spółcześnie z nią rozpoczęła naukę, a która niemniej nic nie pozostawia do życzenia. Trudnoby opisać jaką przyjemność sprawia mi praca z niemi. Łatwość przedmiotu nie usypia mojej czujności i nie nuży umysłu; w nauczaniu niemasz tak łatwego przedmiotu, by ten nie mógł zająć całej działalności umysłu na daną chwilę i niepotrzebował natężonej uwagi jeżeli go pragniemy należycie podać uczącym się. Cóż dopiero mówić o pobudzanej baczności, połączonej z prawdziwem zadowoleniem, gdy się czuje że myśl nasza, rzeczywiście prowadzi myśli uczennic za sobą, razem z niemi biegnie, ich poruszenia zgaduje i do ich potrzeb się nagina. Czujesz się wtedy silną, władającą małym światem, tworzonym przez siebie, powstającym pod twym kierunkiem i współdziałaniem. Gdy przychodzi chwila zakończenia lekcyi, zamiast wyczerpania, z przykrością przychodzi ci oderwać się od pracy, a co ważniejsza — w uczennicach toż samo spostrzegasz uczucie. Tu gdzie zadaniem mojem jest, zachęcić do nauki i przedstawić ją w należytem świetle uważam za najważniejszą sprawę, nie wyczerpywać nigdy do dna chęci i rozbudzonego zapału, przeciwnie— zaostrzać go, zaoszczędzać i ugruntowywać. Teraz nawet, pomimo nadejścia potrzebnych książek i utensyliów naukowych, stosunkowo małą jeszcze liczbę godzin dziennie poświęcamy na lekcyje — ale za to są one godzinami prawdziwej nauki, a ściśle rzeczy biorąc cały dzień nasz jest nią zapełniony, choć z tego nie zdajemy sobie sprawy. Zajęcia nasze domowe, zabawy, rozrywki, mimo zupełnej swobody, noszą zawsze w sobie cechę myśli. Uczennice moje po za teoretyczną nauką mają swój udział w życiu praktycznem, w domowem gospodarstwie, które tu rozwinięte bardzo, na

---

wodu wielkiego nieposzanowania cudzej własności, dzieł specyalnych, bez zastawu wypożyczać by nie mógł i że mimo zupełnego dokompletowania czytelni, mało bardzo osób czyta.

Istotnie na polskie dzieła jest prenumeratorów 100 jak równie i na ruskie, co zaś do francuzkich i niemieckich ledwie 50!

Niepodobna przypuścić, aby taki stan rzeczy, był skutkiem niezaradności właściciela, boć przecie, prawie wszystkie dzieła, znajdują się w 3, 4 a nawet 5 egzemplarzach, bardzo starannie oprawne i utrzymywane w możliwej czystości. Niepodobna równie złożyć tej obojętności na karb wygórowanych cen abonamentu, bo kwartalnie polskie dzieła wynoszą rs. 1 kop. 50, ruskie rs. 3, a kto miesięcznie abonuje płaci 60 lub 75 kop. Więc przychodzi nam wypowiedzieć gorzką prawdę, iż istotnie publiczność niezbyt chętna, niezbyt skora do czytania. Smutny tego dowód pozostał na *Celsie Lewickim*, który nie tylko otworzył czytelnią dzieł beletrystycznych ale nadto za drobną opłatą, na miejscu, urządził gabinet czytania dzieł specyjalnych, i na czem się wszystko skończyło? Z początku znalazło się kilkunastu ciekawskich, po miesiącu nikt nie zajrzał. Jeżeli istotnie po tylu smutnych przykładach, jeszcze znajdują się odważni, ożywieni chęcią służenia dobru publicznemu, słusznem jest złożyć im uznanie zasług. Dla tego życząc p. Janowi Jeleńskiemu który czytelnię dzieł treści poważnej i najświeższych otwiera powodzenia w dość trudnym zawodzie, spodziewamy się, że nieustanie w dobrych chęciach i wkrótce pozwoli nam czerpać potrzebne wiadomości z dzieł poważniejszej treści. Czasy się powoli zmieniają i sądzimy, że czytelnia dzieł specyjalnych, p. Jeleńskiego jak na obecną porę, znajdzie prawdziwych amatorów i gości.

---

Niech żyje *Vaterland!* O szlachetna ojczyzno różnego rodzaju sztukmistrzów, doktorów, melomanów i groszomanów, czyż słońce twej wielkości wiecznie nam przyświecać będzie kiedyż przestaniesz zwracać ku nam złotożądne źrenice swoje. Dotychczas przysyłałaś nam różnego rodzaju pełnoletnich wydwrigroszów, teraz, skoro widocznie tych już zabrakło, obdarzasz nas małoletnimi. Tą razą zwróciłaś łaski swoje nie na główne ognisko życia bruku naszego, ale na prowincyją, gdzie więcej naiwnych spodziewałaś się wynaleść. I w rzeczy samej, znaleźli się szlachetni obywatele wielkiego miasta Piotrkowa, którzy chętnie złożyli obfitą daninę u nóg 13-letniej Elżbiety i 12-letniej Magdaleny von Gauzen, biednych sierotek saksońskiego oficera. O kraino do której skarbnicy spłynęło obficie złoto z nadsekwańskiej ziemi, czyż na łanach twych dla sierot chleba zabrakło, że je aż do nas po jałmużnę przysyłasz! Niezadługo może przyślesz nam wszystkich starych inwalidów z żonami i dziećmi, abyśmy karmili tych, którzy za wielki Vaterland walczyli i wychowywali przyszłe pokolenia potężnego narodu. Zaszczyt to nielada dla Sarmackiej ziemi. Któżby się był spodziewał, że w dziewiętnastym wieku będzie ona karmicielką wielkiego plemienia!

---

Rada Gospodarcza Tow. Dobroczynności w Lublinie ogłosiła sprawozdanie z działalności swej w roku ubiegłym, oznajmiając we wstę-

rozmaite dzieli się gałęzie. Z prawdziwem uznaniem rozsądku matki pojmującej potrzebę rozwijania i podnoszenia praktycznej strony umysłu córek, popieram tę dążność i współudziałem własnym do niej się przykładam. Przy nauce nierozprzestrzenianej na mnóstwo przedmiotów, przy ładzie domowym i dobrej woli, mamy na wszystko dosyć czasu na roboty ręczne, na przechadzki, pogadanki swobodne i na czytanie doborowych książek, któremi swą biblijoteczkę zaopatrzyłam. Dnie schodzą mi tak pięknie —tak rzeźwo, tak wypełnione treścią, iż niepojmuję co to jest nuda, lub niezadowolenie. Towarzystwo dziewcząteк wystarcza mi zupełnie; mamy sobie zawsze tyle do powiedzenia, każda godzina nastręcza nam takie mnóstwo przedmiotów wspólnego zajęcia! a cóż dopiero mówić o przyjemności życia w kole takich ludzi jakimi są pp. Z. Chwile wspólnych zebrań po pracy, dnie świąteczne lub odwiedziny sąsiadów są prawdziwie złotemi chwilami odpoczynku i wesołości. Nie znajdziesz tu może szerokiej wiedzy, błyszczących przedmiotów umysłu, ale to uczciwe, jakieś serdeczne życie dworu wiejskiego, ma urok, którego nieoddałabym za najwykwintniejsze towarzystwo.

Powróćmy jeszcze do mojej praktyki. Z najmłodszą uczennicą odbywam tylko „lekcyje o rzeczach." Książki niepotrzebujemy żadnej; uczymy się na wszystkiem co nas otacza. Nauka starszych nie olśniła by też nikogo mnogością przedmiotów: Język ojczysty, Historyja, Matematyka, Nauki przyrodzone, Geografija i Religija wykładana z całem namarszczeniem przez babunię: oto cały nasz program naukowy.

Pomimo całej swej logiczności pani Z. niemogła się długo oswoić z myślą, żeby można pozbawić córki „parlowania" po francuzku i wygrywania poleczek na fortepianie; chociaż pojmowała bezużyteczność tych artykułów „salonowości" utrzymywała: że „trzeba coś poświęcić i dla próżności ludzkiej." Powoli jednak potrafiłam w niej wzbudzić dość odwagi cywilnej do przełamania przesądu zakorzenionego w wychowaniu panienek, tak iż dziś ze mną pociesza się myślą, że odjąwszy blichtry i pozory wykwintności — potrafimy za to dziewczętom dać gruntowność rzetelną.

Średnia uczennica moja okazuje niezwykłą muzykalność, zamiłowanie śpiewu a głosik ma bardzo obiecujący, ta powinna uprawić swój talencik i będę starać się rozwijać w niej ten dar przyrodzony, równie jak w najmłodszej zdolności rysunkowe objawiane przy pierwotnem pisaniu obrazowem. Daleką jednak będę od jednostronności i przenoszenia: „przyjemnego — nad użyteczne," dowolnych dodatków nad niezbędne potrzeby umysłowego wykształcenia. Chyba nadzwyczajny talent odkryty w dziecku, może upoważnić rodziców do naruszenia tej równowagi, a to przyznasz sama, jest rzeczą wyjątkową i bardzo rzadką. Wykształcenie ogólne obok życiowej specyjalności uważam za zadanie nauki i dążyć będę w mej pracy, (abym ją tylko mogła do końca tak pięknie przeprowadzić, jak to wróży początek!) do uczynienia z mych dziewcząteк istot prawdziwie ludzkich, dziewic pełnych światła i charakteru, zacnych matek i obywatelek kraju, a specyjalnie — gospodyń wiejskich w najobszerniejszym znaczeniu tego wyrazu.

Gdy myślą ze swego otoczenia przechodzę w twój świat, kochana przyjaciółko, smutno mi się robi. Pojmuję o ile trudniejsze jest twoje położenie i o ile większą cenę mieć będzie każda twa zdobycz w pracy, choćby była małą na pozór. Wytrwaj, pracuj całą siłą! Ale jeśli ujrzysz że nie podołasz, strzeż się opuścić rąk w zniechęceniu i poddaniu się niedołężnemu biegowi rzeczy. Strzeż się, abyś zamiast oddziaływać, nie została pochłoniętą przez wpływ otoczenia — jeśli poznasz swą bezsilność na niewdzięcznem polu — przejdź na inne, gdzie sił swych nie zmarnujesz, owszem wzmożesz je w pożytecznej pracy.

Dla rozweselenia cię na końcu czynię małe spostrzeżenie nad twą pozycyją w świecie. Czy ty to uważasz, że znajdujesz się na gruncie na wskroś powieściowym? Romansopisarz z twego listu wysnułby pewnie parę tomów bardzo rzewnej historyi, nad którą by twe koleżanki płakały. Strzeż się, strzeż się Jadwiniu! Sytuacyje powieściowe są wrogiem naszego powołania. Spokój umysłu, swoboda serca i praca nadewszystko są właściwym naszym żywiołem. Temi słowy kończę....

Twoja na zawsze.

*Zofija.*

# PIERWOTNE JESTESTWA ZIEMI.

Pierwociny życia — Ziemia w postaci mgławicy — Stopniowe jej rozwoje — Trzy warstwy atmosfery — Temperatura — Walka wody z ogniem — Martwota w okresie pierwotnym — Epoka sylurycznа — Oceany dewonu — Flora węglowa — Porfiry i syenity permskie — Płazy okresu drugorzędowego — Wolcye i Haldingerye — Ammonity i bellemnity jurasu — Potworne jaszczury — Zamje — Olbrzymy krokodylowe — Polipy architektami pokładów ziemnych — Formacya jurasowa w Polsce — Utwór kredowy — Rozbójniczy Mososawrus — Wygląd ziemi w epoce pokredowej — Flora i fauna trzeciorzędowa — Nummulity — Kataklizmy potopowe — Epoka lodowa — Ślady istnienia w niej człowieka — Rozwoje życia w epoce diluwijalnej — Aluwium — Bohaterskie zapasy człowieka z przyrodą i jej tworami — Człowiek wychodzi z walki zwycięzko i zostaje panem ziemi.

(ciąg dalszy)

Kolosalna głowa jaszczura opierała się na słupie pacierzowym sto kręgów przeszło liczącym — z pomocą nich zwierz mógł odbywać najszybsze poruszenia w toniach morza. Żebra jego rozciągały się od głowy do miednicy, w czasie ruchu członki przetwarzały się w płetwy, w ruchome wiosła z których przednie były dwakroć większe od tylnych. Ogon składał się z 80 lub 85 kręgów i również opatrzony był płetwami pionowo jak u ryb ułożonemi. Skórę ichtyosaura prawdopodobnie nie osłaniała żadna łuska, gdyż dotąd szczątków takiego pancerza nie znaleziono.

---

pie pomyślną bardzo wiadomość. Ś. p. Ignacy Wessel właściciel dóbr Karczmiska i Żyrzyn zapisał Towarzystwu rs. 3000, zabezpieczając je na tychże dobrach.

Zaznaczając ten ważny wypadek na półwiekowej karcie dziejów swoich, Towarzystwo wynurza serdeczną wdzięczność pamięci dobroczyńcy swego.

Dalej okazuje się ze sprawozdania, że w r. 1874 w domu starców i kalek było 41 osób, koszt zaś dzienny utrzymania jednej osoby wynosił kop. 9; sprawiono 12 par butów i 30 trzewików (dla 10 mężczyzn i 31 kobiet); w sali sierot znajdowało się dzieci 24, koszt dzienny kop. 17½; do ochrony uczęszczało dzieci 83; z żywnością 40, bez żywności 43; w ogóle zaś w ciągu r. z. korzystało z pomocy Towarz. Dobroczynności 230 osób.

Przychód wraz z remanentem z r. 1873 (rs. 230 kop. 62)

wynosił w r. 1874. . . . . rs. 5823 k. 51½
wydatki zaś w t. r. wynosiły „ 5243 k. 2½

Zostało remanentu rs. 580 kop. 49.

Towarzystwo posiada nadto remanent po b. sklepie ubogich rs. 752 k. 60. Pod zarządem tegoż Towarzystwa pozostają: kasa pożyczkowa dla urzędników i kasa pożyczkowa rzemieślnicza. W kasie rzemieślniczej po udzieleniu w ciągu r. z. pożyczki 9 osobom w ilości rs. 443 k. 50 (przecięciowo po rs. 49 k. 27) pozostało w kasie rs. 32 kop. 46. Z kasy dla urzędników wypożyczono osobom 19-u rs. 914 k. 4½ (przecięciowo po rs. 48 kop. 10) t. j. całą sumę rozporządzalną.

Ogół funduszów Tow. wynosi pokaźną sumę, bo rs. 14,851 kop. 9, oprócz 4 domów, z których 2 murowane w samem mieście, 2 zaś drewniane na przedmieściach. Dochód ze skarbonek umieszczonych po różnych miejscach wyniósł w r. p. rs. 109 kop. 70, najwięcej otrzymano ze skarbonki u Pisarza hipotecznego rs. 23 kop. 50, najmniej ze sklepu p. Majewskiego kop. 29.

Pomimo takiego stanu funduszów i pozostałego remanentu na r. b. (rs. 580 kop. 49) Rada gospodarcza Tow. potrzebując znacznego funduszu na różne naprawy i sprawunki odwołuje się do serc mieszkańców Lublina i obywateli ziemskich, szczególniej zaś uprasza pp. członków o *regularne* wnoszenie składek miesięcznych.

Podobno to najskuteczniejsza będzie podpora dla tak umiejętnie kierującego się Towarzystwa któremu życzymy też i nadal powodzenia.

---

Dzięki szlachetnym ofiarodawcom, szpital dziecięcy zostający pod kierunkiem D-ra Sikorskiego, będzie miał wkrótce własne pomieszczenie. Obszerny gmach piętrowy, który wraz z ogrodem, ma być na ten cel oddany, stanął w tych czasach przy ulicy Aleksandryja. Odznacza się on estetycznością form zewnętrznych, i pod każdym względem odpowiada swemu przeznaczeniu. Ponieważ zaś wewnątrz budowa nie jest jeszcze w zupełności wykończoną, przyjmowanie chorych dzieci, pomimo przeniesienia się już szpitala, odłożone na czas późniejszy. Wkrótce jednakże niedogodność ta usuniętą zostanie.

Pomoc zaś lekarska dla dzieci przynoszonych z domu, udzielaną bywa w ambulatoryjum nowego gmachu.

Przez długi czas pozostawało do rozwiązania pytanie czem się żywił ów jaszczur jurasowy? Na szczęście w lejasie około Syme-Regis w Anglii znaleziono skielet ichtyosaura w którym mieściły się wydzieliny zwane koprolitami. Zbadanie ich wykryło rodzaj pożywienia tego zwierza, żyjącego przed kilku lub kilkunastu tysiącami wieków. Koprolity zawierały w sobie kości i łuski ryb i płazów a nadto szczątki samychże ichtyosaurów, co dowodzi jawnie, że żarłoczny jaszczur karmił się nawet własnym gatunkiem.

Niemniej osobliwym dziwotworem mórz lejasowych był *Plesiosaurus*. Posiadał on głowę jaszczurki, zęby krokodyla, szyję wygiętą długości węża, żebra kameleona, kadłub i ogon czworonoga i płetwy wieloryba. Kręgi jego szyjowe były liczniejsze niż u łabędzia, kadłuba nie zasłaniał żaden pancerz, pierś, miednica, kości członków przednich i tylnych, tworzyły przyrząd posługujący plesiosaurowi do obniżania się w głębie wodne, lub wypływania na powierzchnię, na podobieństwo ichtyosaurów.— Płaz ten pływał po wodach, wyginając ku tyłowi długą i giętką swą szyję, aby z większą siłą w danej chwili wysunąć ku przodowi paszczę, uzbrojoną ostremi zębami i chwytać ryby na które czychał, wśród traw ukryty. Zwierz ten ogromem dorównywał prawie ichtyosaurowi.

We wszech ogniwach życia organicznego znachodzimy stopniowe rozwoje, powolne przechodzenie jednego kształtu w drugi.— Płetwy ryb dewońskich stają się wiosłami u ichtyosaurów i plesiosaurów, a wiosła te zmieniają się w nogi błoniaste u ptoredaktylów i w skrzydła ptaków. Później występują członki przednie ssaków lądowych, a dochodząc zupełnego rozwoju u małpy, tworzą w końcu ramię i rękę człowieka, narzędzie przedziwnie odpowiadające przeznaczeniu.

Przechodzę do pterodaktyla. (Pterodactylus) trzeciej osobliwszej postaci jurasu, cechującej się członkami przedniemi przekształconemi w skrzydła.

Pterodaktylus był przez długi czas dla przyrodników sfinksem, jedni upatrywali w nim ptaka, drudzy niedoperza, inni wreszcie poczytywali go za płaz latający w powietrzu.

Bliższa analiza okazała, że pterodaktylus był w istocie płazem skrzydlatym. Najokazalsze jego gatunki nie przechodziły wielkością łabędzia. Natomiast, głowę miał ogromną w zestawieniu z resztą ciała— przysadka błoniasta łącząca jego palce z zewnętrznemi żebrami, była raczej spadochronem niż skrzydłem.

Rzucając się na zdobycz, pterodaktylus posługiwał się tym spadochronem łagodzącym chyżość jego rzutu, zresztą zwierz pełzał jak jaszczurka po ziemi, piął się na wały i drzewa i spadał z nich bezpiecznie, dzięki owym dobroczynnym skrzydłom. Pterodaktylus kroczył na dwóch tylnych nogach utrzymujących go w położeniu prostopadłem, po drzewach pełzał używając nóg przednich jak to czynią niedoperze. Pokarm jego stanowiły ryby.

Lejas ma barwę ciemną, składa się z szarych wapieni i z margli, z czarnych iłów i łupków bituminowych. W epoce tego utworu morza przedstawiają dziwny widok. Milijardy ammonitów, toczą się po polach jak koła karoć muszlowatych, wyzierają lękliwem okiem z pod tej skorupiastej przyłbicy i wysuwają pięcioopalczaste swe członki opatrzone włosami. W falach przecież oceanu panuje wszechwładnie Ichtyosaurus i Plesiosaurus, a na pobrzeżach ogromne żółwie i krokodyle. W powietrzu strwożone owady ustępują z drogi rozbójniczemu władcy tych szlaków, pterodaktylowi. Wytwornych wolcyj tryjasowych już niema ani śladu—lecz pozostały skrzypy, paprocie, trzciny okazałe i wystąpiły na arenę życia Zamije z rodzajów *Pterophyllum* i *Nilsonia*.

Zamije to zwiastuny palm jakie mają z kolei rozkwitnąć na ziemi. Na prostej ich łodydze wznosiła się korona liści długich na sześć stóp pol. rozpostartych w prześliczny wachlarz. Wyniosłe drzewa pterophylij pokryte od stóp do szczytu szerokiemi liściami pierzastemi, dodawały wdzięku krajobrazom. Obok nich krzewiły się *Nilsonije* o liściach grubych, skórzastych.

W utworze oolitowym czyli *wapienia ikrowatego*, napotykamy pokłady wapienne, złożone z kulistych ziarnek wielkości prosa, podobnych do ikry rybiej i przedstawiających w rozłamie budowę warstwowatą. Większe ziarna wchodzące w skład tych wapieni nazywamy *grochowcami* albo *pizolitami*. Oolit dzielą geologowie na *dolny*, *środkowy* i *wierzchni*.

W oolicie dolnym przejawiają się pierwsze zwierzęta ssące woskowate, pokrewne dydelfom, a mianowicie *Thylawtherium*, *Amphithorium* i *Phascolotherium*. Na morzach wojuje wielki jaszczur *Teleosaurus* uganiając się za rybami z rodzajów *Ganodus* i *Ophiopsis*. W epoce tej napotykamy pierwszy raz rośliny pandamowete i drzewa szyszkowe z rodzajów *Tui*, *Taziles* i *Brachyphyllum*. Tuje były to śliczne krzewy wieczyście zielone, o małych listkach przypominających cyprys. Tazyty zbliżały się do dzisiejszych cisów. Brachyphylije zaś wielce były podobne do Widdringtonij Afryki południowej.

Z owadów półpokrywych występują mszyce, z błonkoskrzydłych pszczoły, z łuskoskrzydłych motyle, z żyłkowatych szklarki.

Pokrewnym pterodaktylowi był *Ramphorhynchus*, odróżniający się od niego długim ogonem pokrytym łuskami. Wielkością nie przechodził kruka — z pomocą dwóch spadochronów z boków ciała pomieszczonych w postaci skrzydeł, mógł on przerzucać się z drzew na ziemię.

W oolicie środkowym napotykamy srogiego korsarza mór z owoczesnych *Teleosaura*. Podobny do krokodyla potwór ten uwijał się po wodach i na ich pobrzeżach. Długość jego ciała dochodziła do 35 stóp, a głowa dosięgała aż 7 stóp.

Teleosaury opatrzone olbrzymią paszczą rozdartą do samych uszów, chłonęły łatwo w tej czeluści zwierzęta, dorównywające wielkością wołu. Brzuch równie jak grzbiet tych potworów osłonięty był krzepkim pancerzem.

Liczne gatunki ryb skorupiaków, małżoraków wąsonogich, mięczaków i polipów charakteryzują oolit środkowy. Polipy wytworzyły kolosalne pokłady wapienia, które podwyższyły łożysko morza. W oolicie wierzchnim, obok teleosaurów żyły straszliwe krokodyle. Do takich należy *Maworhynchus*, potworny *poecilopteuron*, opatrzony ogromnemi pazurami i ostremi śpilkowatemi zębami, tudzież jaszczury z rodzajów *Hyleosaurus*, *Stucosaurus*, *Streptospondilus* i *Cetiosaurus*,— z żółwi zaś *Emys* i *Platemys*.

Główną przecież cechą peryjodu oolitu wierzchniego jest ukazanie się ptaka. W kopalniach kamienia litograficznego w Solenhofem, znaleziono nogi i pióra ptaka pochodzącego z tej epoki, któremu nadano nazwę *Archaepteryz*. Mięczaków głowonogich nie wiele w tym peryjodzie, ale natomiast przybywa mnóstwo gatunków ammonitów.

Pokłady jurasu znajdujemy w Hiszpanii, w północnych Włoszech, w Niemczech, Rosyi i Polsce. Zajmuje on szerokie płaty w gubernijach: Moskiewskiej, Symbirskiej, Włodzimierskiej, Wołogodzkiej, Archangielskiej i w Krymie.— Napotykamy je w Tatrach i w Krakowskiem. Stoki doliny Kościeliskiej, skały Zakopanego i Jaworzyna, są po większej części lejasowe, miejscami dolomity munumlitowe wskazują utwór eoceniczny. Oolit środkowy przejawia się w Ostrowcu, Kościelcu, Brodach, około Olkusza—oolit zaś wierzchni w Suszce i w Wodnej, wsiach krakowskich. Z wapienia gąbkowego wyformowanym został Wawel, skały Kostrza, Tyńca, Bielan, Krzeszowic, Ojcowa, Piaskowej skały, Złotego potoku, Rabsztyna, Olsztynu i Częstochowy. Wapienie koralowe tego utworu napotykamy w Jędrzychowie i Roczynach w Galicyi zachodniej, około Przemyśla i Dynowa w powiecie Sanockim w Małogoszczu, Korytnicy i Iłży. Pokłady jurasowe prawdopodobnie wytworzyły Himalaye i Andy. Geologowie znaleźli je również w Nowej Zelandyi. W epoce jurasowej Europę zachodnią pomnożyły lądy wydźwignięte z topieli morza.

Z kolei wypada mi przejść do następnej epoki zwanej *Kredową*, z powodu cechujących ją osadów kredy czyli węglanu wapna. Wprawdzie sól ta przejawiła się już w sylurycznej formacyi, nie w takich przecież masach jak w okresie kredowym. Pochodzenie tych pokładów wapiennych nauka już dziś wyjaśniła. W wiekach geologicznych źródła gorące przesycone solami wapna, osadzały je w łożysku wód, pokrywających ongi prawie całkowicie ziemię.

Zwierzokrzewy i mięczaki owładnęły tem wapnem, które ich ciału dało pancerz skorupiasty. — Korzystały z niego też dziurkowce i polipy rozradzające się w morzach w niezliczonym mnóstwie. Cóż nastąpiło po śmierci tych milijardowych jestestw? oto ciało ich uległo zniszczeniu, pancerz zaś wapienny pozostał i wytworzył rozległe osady w łożysku morza. Po ustąpieniu wód, osady te wystąpiły na powierzchnię ziemi w postaci grubych pokładów. — Kreda jest niczem innem tylko zbiorowiskiem muszli ammonitów i szkieletów dziurkowców tak drobnych, że sto pięćdziesiąt tych jestestw uszeregowanych obok siebie, dałoby dopiero długość jednego milimetra. Flora z epoki kredowej jest jakby ogniwem łączącym ją z roślinnością nam współczesną. Występują w niej palmy obok paproci i cykasów—olchy, klony, orzechy i graby. — Odno-

śnie do fauny nie napotykamy już dydelfów, natomiast olbrzymie jaszczury do 70 stóp pol. długości mające plądrują, po ziemi. — Z tych *Mososaurus* którego głowa dochodziła 27 stóp długości, a szerokość paszczy 3 i pół stóp, odgrywał rozbójniczą rolę Ichthyosaura jurasowego. Z pośród ryb przejawiają się szczupak, łosoś, rybojeż (diodoń), które stają się pastwą rekinów występujących na widownię życia już w końcu epoki oolitycznej. Dziurkowce pracują nieustannie nad wyformowaniem skał kredowych.

Epokę kredową dzielimy na dwa peryjody, to jest utworu *dolnego* i *wierzchniego*. Pierwszy cechuje się obecnością licznych płazów i niektórych ptaków, zwłaszcza z rodzaju *palеornis*, wreszcie obfitością mięczaków i zwierzokrzewów.

W 1832 roku w lesie kopalnym Tilgate, wykryto jaszczura opatrzonego kirysem, zwanego *Hyleosaurus*, którego długość dochodziła 27 stóp polskich. Jurasowy potwór jaszczurowaty *Megalosaurus* 50 stóp długi, na krótkich przysadzistych nogach, utrzymywał się jeszcze na lądach. Straszliwe jego zęby spełniały połączone funkcyje noża i piły. Olbrzym ten niedorównywał jednak kolosalnemu legwanowi jaszczurowatemu, opatrzonemu rogiem na nosie. Długość tego legwana dochodziła 60 pol., kość jego udowa była grubszą od napotykanej u słonia. Zęby służyły mu do wykopywania roślin któremi się żywił. Mosoaurus wszakże jest mocarzem najpotężniejszym w państwie fauny kredowej.

Na morzach rozkrzewiły się naówczas rośliny wodne: Zielenica (Conferoa), Chondryty zwane też *Chrzęstem* (Chondrus) i Gronorosty (Sargassum). Zielenica tworzyła włókno proste, rozgałęzione, z sobą powikłane—chondryty przedstawiały gęstą tkankę wodorostów, gronorosty zaś wielkolistne pokrywają dziś jeszcze ogromne przestrzenie na powierzchni oceanu.

Europa po wytworzeniu się osadów kredowych, przedstawiała widok całkiem zmieniony. W miejscowości zajmowanej dziś przez Francyją, wydźwignął się z wód półwysep wyformowany z Bretonii, Niższej Normandyi, Wandei i z prowincyi Maine, złączony za pośrednictwem Poitu z płaskowzgórzem środkowem, rozpierającem się od Cewenów do Ardenów i dotykającem Wogezów. Morze zalewało Flandryję, Pikardyją, Szampanię, okolice Paryża, wyższą Normandyją i południe Francyi. Jurasowy płat ziemi łączył Francyją z Angliją, które to kraje następnie rozdzielone zostały w skutek zalewu wód morskich.

d. c. n.

---

# Dramat indyjski i jego związek z religiją.

PRZEZ

**Edgara Quinet.**

(ciąg dalszy).

Wreszcie, teatr ten nieustannie wystawia ubóstwianie (apoteozę) miłości, tej jedynej namiętności, jaka rozwija się na tej ziemi azyjskiej, i godna uwagi, że tą właściwością bliższym jest dramat indyjski sztuce francuzkiej aniżeli greckiej, która to ostatnia prawie niezna tego uczucia. Prawdą jest jednak, że i tym najwewnętrzniejszym zjawiskom serca panteizm nadaje piętno właściwe tylko Indyjom. Przyroda tu staje się godłem, wizerunkiem osoby ukochanej, która tym sposobem wciela się we wszelkie formy świata zewnętrznego. Wszech-świat zmysłowy staje się zawsze powiernikiem zwierzeń i łez bohaterów indyjskich.

W największym bólu rozpaczy, w dramacie *Malati i Madhąwa* młodzian wykrzykuje:

„W tych pączkach kwiatowych, widzę piękność mej przyjaciółki; jej wzrok odnajduję w oku gazeli; lijan kołyszący się pod tchnieniem wiatru objawia jej wdzięczne ruchy: umarła, a wszystkie powaby jej ciała rozpierzchły się w pustyni.“

Podobnie jak w wiekach średnich Beatryksa poetyczna Dantego zlała się w jego sercu w jedną całość z ideałem teologii katolickiej, podobnie Beatryksa indyjska stapia się nareszcie z odwieczną miłośnicą, z przyrodą bezmierną, z Mają, królową urojeń. Obłok mglisty, który przesuwa się po niebie, jest powiewną suknią przyjaciółki; fala zwieńczona pianą przedstawia jej czoło dziewicze, przelewanie się bałwanów obrazuje chód jej niepewny; i szał ten kochanka, stanowiący treść dramatów *Wikrama i Urwasi* oraz *Malati i Madhawa*, szał kochanka — który ściga, chwyta, pożąda przedmiotu swego uczucia w lijanie obumierającym pustyni, w błyskawicy ognia, w fali bystrej kryjącej widziadło ukochane, — stanowi źródło patetyczności wyłącznie indyjskiego pochodzenia. Nietylko miłość tak pojęta różni się stanowczo od form tego uczucia w Grecyi i Rzymie, ale nadto ma barwę stanowczo religijną, skoro miesza osobę ukochaną z przedmiotem wiary i kultu, a raczej z nieskończonością widomą. W głębi tej bezdennej otchłani miłości, w którą indyjanin zapada, niemoże on rozróżnić własnego swego bożyszcza od bóstwa powszechnego, i to stanowi grunt jego zawrotu bez granic, gdyż cała przyroda, sama drżąca rozkoszą i pragnieniem miłości, roznieca w nim i wzmaga do uniesienia, za pośrednictwem wszystkich swych stworzeń, szał którym sama płonie. Ona staje się powiernicą kochanka, ona bierze rolę starszej siostry, która daje ucho skargom i przenosi na chmurach wiadomości kochanków o sobie. Dżdże kwiatów opadają z wyżyn niebieskich. Młode Apsarasy *) ze szczytów Himalaja opiekują się rozkochanemi; wszystko co żyje łączy się w jednej akcyi, i rzecby można, że losy wszelakiego bytu zawisły na ustach dwu istot ludzkich.

Jeszcze jeden objaw patetyczności tryszcze w dramacie indyjskim z tegoż samego źródła: jest to uczucie biorące początek z miłości człowieka, nie dla istoty sobie podobnej, lecz dla przyrody żywej. To współzawodnictwo, ta niema zazdrość *rzeczy*, stająca na drodze miłości człowieka dla człowieka, stanowi przynajmniej wdzięk główny, jeżeli nie samą treść dramatu *Sakuntala*.

Młoda dziewczyna opuścić ma przytułek swego dzieciństwa, dla połączenia się z swym kochankiem królewskim; boginie leśne (rusałki) wiją równianki dla niebiańskiej małżonki; odjeżdża, opuszcza gaje rodzinne. Wtedy ma miejsce scena, której niewiem jakie dać miano, i w której natura martwa występuje na pierwszy plan akcyi. Rzekłbyś że w tej chwili po scenie rozsuwają się najharmonijniejsze obrazy odnogi bengalskiej.

*Bramin.* O wy, drzewa gałęziste, wy lasy uświęcone bóstwa pobytem, Sakuntala was opuszcza udając się do pałaców swego małżonka; opuszcza was ta, która niepodlawszy was wprzódy, nieuspokoiła własnego pragnienia; opuszcza was ta, która z miłości dla was, gałązki nigdy nieuszczknęła, dla przyozdobienia swych włosów, i która największej doznawała radości, widząc was osypane kwieciem.

*Chór niewidzialny.* Niech szczęście jej w drodze towarzyszy! niech wiatry przynoszą jej tchnienie kwiecia wonne! niech źródła przejrzyste, ocienione lotusem, chłodzą jej nogi, a drzew konary niech ją ochraniają przed promieniami słońca.

*Jedna z towarzyszek Sakuntali.* Czyż to głos synogarlicy życzy szczęśliwej drogi Sakuntali? czyli też wodnice, naśladując głos jej dźwięczny, oddają hołd pobożnemu mieszkańcowi tych lasów?

(*d. c. n.*)

*) Dziewice o lotosowych oczach, które bóg Indra posyła na wypróbowanie pustelników, i do których należy Urwasi, bohaterka dramatu Wikrama i Urwasi, a kusząca z woli bóstwa Ardżunę. (*Przyp. tłom.*)

---

# ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ

**ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH**

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

**Leokadyi P....**

(Ciąg dalszy.)

Inna jeszcze przyczyna działała na obudwu strzelców—to zamiłowanie roli jaką odgrywali w tych okolicznościach. Lubili szukać śladów tak zupełnie jak psy gończe i trzeba było nieznośnego cierpienia głodu, pragnienia i fatygi aby dobrowolnie wyrzekli się swoich poszukiwań.

Zaledwie więc tak jak i ja zaspokoili pragnienie, pośpieszyli za mną w wodę i wszyscy trzej razem badaliśmy znaki z największą uwagą.

Był to prawdziwy ślad wojenny, nie widać było śladów psich ani od żerdzi namiotów. Jeżeli to było prostą tylko zmianą obozowiska spokojnych Indyjan, to z pewnością zobaczyć by było można więcej znaków, byłyby liczne ślady nóg Indyjanek, bo żona-niewolnica wyniosłego komansza jest obowiązaną przebywać stepy pieszo, obładowana jak bydlę które za nią postępuje.

Zato ślady nóg kobiecych doskonale odciśnięte były na gruncie, nad brzegiem małej rzeczki. Te małe znaki takie zaledwie jak ręka i lekko odciśnięte na tym mulistym gruncie nie mogły być porównane ze śladami nóg *squaw* dzikiej, nie było tego szerokiego przedziału pomiędzy piętą a zakrzywionem wielkim palcem, niepoznaliśmy także formy pantofelka. Te ślady tak delikatne musiały być zrobione nogami kobiet meksykańskich którym się dostały najmniejsze i najładniejsze małe nóżki jakie są na świecie.

— „Branki!"— rozległ się okrzyk, skoro nasze oczy padły na te znaki.

— Tak, biedne stworzenia, dodał Rube ze współczuciem, te czerwono-skóry kazali im iść piechotą chociaż mieli sporo zbywających koni. Było tu najmniej dwadzieścia kobiet: lituję się nad niemi biedne dziewczęta! O to śliczne towarzystwo będą miały! nauczą się prowadzić życie bardzo przyjemne!

Rube nie czuł z jakim ciężarem te słowa padły mi na serce.

Więcej jak sto koni i tyleż mułów pozostawiły w tym miejscu ślady swojego pochodu, pomiędzy jednymi i drugimi musiały się znajdować podkute, ale mimo to byliśmy pewni że te zwierzęta były jeżdżone albo prowadzone przez Indyjan, bo bydlęta także musiały być w liczbie jeńców.

Te różnorodne znaki doprowadziły moich towarzyszy do odkrycia okoliczności które by były dla mnie niedostępne. Z największą pewnością to był ślad oddziału indyjskiego wracającego z powrotem. Byli obładowani łupami i pędzili przed sobą albo przymuszali do postępowania za sobą, tłum istot zabranych w niewolę: mężczyzn, kobiet, koni, mułów a nawet dzieci bo znaleźliśmy ślady maleńkich stóp, stóp bardzo małych.

Ślad przedstawiał wyraźnie wszystkie te szczegóły nawet może mniej wprawnym oczom. Ale znaczyły one więcej jeszcze dla moich dwóch towarzyszy. Nie wątpili już oni że ci Indyjanie są komansze. Podnieśli porzucone mokosyny a ozdoba ze skóry na pięcie, dała im poznać do jakiego plemienia należał ten co nosił to obuwie.

Ślad był zupełnie świeży. Pomimo suchości atmosfery muł który pokrywał brzeg rzeki był jeszcze nietknięty podług spostrzeżenia strzelców. Rabusie przeszli w bród około tego czasu kiedy łąka zaczęła się palić.

Konie któreśmy śledzili po spalonej łące stanowiły oddział goniący białego rumaka. Tu właśnie, w miejscu gdzie można było przejść rzekę połączyły się z resztą oddziału unoszącego łupy i pędzącego niewolników. Od tego miejsca wszyscy razem postępowali dalej.

Rzecz zdawała się zbyt prawdopodobną aby przypuścić jaką wątpliwość. Ale chcieliśmy dokładnie przekonać się o rzeczy najważniejszej i szukaliśmy śladu kopyta wyszczerbionego przy brzegu co każden z nas mógł sprawdzić dokładnie.

Niepodobieństwo było z razu nie odkryć go na mulistym brzegu rzeki, ale być może że złapanego konia prowadził jeździec na przodzie oddziału a tym sposobem jego ślad został zatarty kopytami stada idącego z tyłu.

W tej chwili Stanfield wszedł na pochyłość i zaczął z nami poszukiwać śladów. Ale dzielny żołnierz zaledwie rzucił okiem do koła wydał okrzyk znaczący, zatrzymał się i wskazał palcem na ślad podkowy końskiej.

— Mój koń!—zawołał—to mój własny koń Hickory—do stu piorunów!

— Jakto twój koń!

— Niech nigdy nie zobaczę Kentucky jeżeli nie prawda...

— Jakimże cudem pewny jesteś że to znaki twojego konia?

— Oto tak jestem tego pewnym jak tego że teraz słońce przyświeca — toć ja go sam podkuwałem. Poznałem to kopyto odciśnięte na suchym piasku, poznałem gwoździe bo od pierwszego do ostatniego wbijałem je własną moją ręką. Tak—tak to on z wszelką pewnością.

Rube gwizdał znacząco.

No, odezwał się wesoło, to czyni sprawę daleko jaśniejszą a muszę przyznać że na tę myśl wpadałem. Ten przeklęty renegat czerwono-skóry! dodał ze złością, wiedziałem że źle robimy puszczając go swobodnie. Trzeba było poderżnąć szelmie gardło, trzeba mu było zedrzeć skórę z czaszki jakeśmy go tylko złapali. Co za głupstwo wypuścić tak sobie bez niczego hultaja.

Słowa Ruba nie potrzebowały bliższych wyjaśnień, wiedzieliśmy do kogo stosował pogróżki swoje. Chciał on był poderżnąć gardło Meksykaninowi przebranemu za Indyjanina któregośmy schwytali przy skale, ale nie z godziła się na to reszta towarzyszów.

Strzelec chciał nas przekonać iż ma słuszne powody do tej surowości.

— Powiadam wam—mówił—że to jest nikczemny renegat i że na całych stepach jak długie i szerokie nie ma większego jak on wroga białych w ogóle a w szczególności Tekseńczyków. On należał do zamordowania familii Wilson, on do gwałtów w Brazos, on odznaczył się w potyczce która rzeź poprzedziła. Dzikszy, straszniejszy od Indyjanina bo zna sposób postępowania białych. Nie widziałbym nigdy nic równie głupszego nad puszczenie tego urwisa. Kochany panie Stanfield, ty szczerześ powinien Bogu dziękować że ci czupryny razem ze szkapą nie zabrał.

Jakeśmy to powiedzieli koń skradziony przez renegata był istotnie koniem Stanfielda i ślady które odkrył ten ostatni były istotnie śladami zwierzęcia które niosło włóczęgę na swoim grzbiecie.

To odkrycie miało dla nas wielkie znaczenie...

Nie można się było mylić... To była ta sama horda którąśmy napotkali przy skale, powiększona tylko nocnym posiłkiem, ta sama banda co niedawno zrabowała miasto meksykańskie ta sama co napadła była na hacyjendę a ten renegat to...

Dziwne wspomnienia cisnęły mi się do głowy. Przypomniałem sobie że spotkałem tego pół-dzikiego jak się ukrywał po drodze gdy go na słowo wypuszczono na wolność. Jeździłem konno dnia tego w towarzystwie Isoliny i jak dziś pamiętam jego dziką minę w chwili gdy się przypatrywał mojej towarzyszce. Jego spojrzenie pełne okrucieństwa z irytowało mnie bardzo i surowo go skarciłem. Wszystko to przyszło mi teraz na myśl...

Ze dwudziesty już raz skoczyłem na siodło i szybko popędziłem naprzód za śladem, rzuciwszy moim ludziom niewyraźne jakieś rozkazy.

---

## ROZDZIAŁ LXX.

### Liść Maguey.

Odtąd niepotrzebowaliśmy już odwoływać się do doświadczenia i sprytu traperów—ślad był tak wyraźnym iż za nim jak po najlepszej drodze postępować można było.

Jechaliśmy wolno bo trzeba się było stosować do sił naszych koni, pomęczonych już tak, iż niepodobna było nadużywać ich dłużej.

Niektóre ustawały nawet widocznie i pozostawały w tyle o pareset kroków.

Nie podobna walczyć przeciw naturze. Ludzie mieli zawsze chęci najlepsze pomimo iż również śmiertelnie zmordowani byli ale konie były zupełnie wycieńczone. Ani spicruta ani ostroga działać nie były już wstanie. Jeden tylko Moro był zdolnym jechać dalej, ale posuwać się mnie samemu byłoby proste m szaleństwem.

Noc zapadała gwałtownie a z zachmurzonego nieba poznałem iż nie będziemy mieli księżyca. Mogliśmy jechać za śladem przy świetle świec woskowych których mieliśmy kilka ale obecnie nie okazywało się to bezpiecznem. Osobiście mało mnie obchodziło wszystko i gotów byłem stawiać życie na kartę—życie przecież moich towarzyszów nie do mnie należało... Niewolno ich narażać, niewolno poświęcać napróżno.

Zszedłem więc z siodła i rad nie rad siadłem na ziemi, pozostawiwszy koniowi możność popasania na murawie.

W miarę jak przybywali współkamraci przywiązywali konie do lanc w ziemię osadzonych i nic nie mówiąc siadali koło mnie. Powyciągani na kobiercu zielonym w dziesięć minut wszyscy zasnęli.

Ja tylko jeden usnąć nie mogłem bo mnie gorączka trawiła. Czarne myśli jakie mnie gniotły nie pozwoliły zamknąć mi oka chociaż te niby się kleiły rozdrażnione za nadto długiem czuwaniem. Byłem jednem słowem roznerwowany najzupełniej i ani spać ani usiedzieć na miejscu nie było mi podobna.

Wstałem tedy i zacząłem się błąkać tam i sam nie wiedząc gdzie idę i po co a przeszkadzając tylko śpiącym. Chodziłem pomiędzy końmi nad brzegiem małego strumienia który znajdował się niedaleko, bo właśnie dla tego sąsiedztwa wybrałem to miejsce na spoczynek.

Może po raz dziesiąty jaki zachodziłem do brzegu, nabierałem w dłonie wodę... którą zwilżałem usta i skronie. Ta zimna woda orzeźwiła mnię trochę i dała więcej siły moim członkom i znużonemu umysłowi.

Po chwili czując się spokojniejszym, usiadłem nad brzegiem i czas jakiś przypatrywałem się wzburzonej w łożysku wodzie.

Była ona bardzo przezroczystą, chociaż więc słońce przestało przyświecać, można było dostrzedz maleńkie srebrzyste rybki igrające na dnie wesoło.

Przypatrywałem im się długo — aż poczułem że powieki kleić mi się zaczynają... Szmer to strumienia tak kołysał do spoczynku i byłbym może zasnął na dobre, gdyby nie wypadek który na raz wytrzeźwił mnie najzupełniej.

Tuż oto przy miejscu na którem spoczywałem zauważyłem ogromny pień dzikiej *maguey*.

Jedna z długich łodyg tej rośliny pochyliła się na pół złamana a kolce sterczące zwykle na końcu były zupełnie wyrwane.

Gdyby oprócz tego nic więcej nie było, nie zwracał bym ma się (rozumieć żadnej na to u wagi; Indyjanie bowiem zatrzymywali się byli w tem samem miejscu na którem i myśmy obozowali — jeden więc z ich koni albo mułów naderwał maguej w przechodzie... Rzecz ta byłaby prosta i naturalna...

Ale będąc tuż przy roślinie zauważyłem ku wielkiemu zdziwieniu, że było coś napisane na jej liściu.

Uniosłem się więc trochę pochwyciłem za liść, pochyliłem go ku sobie i o to co wyczytałem:

Niewolnica Komanszów... Oddział wojenny z wielką liczbą jeńców. Dzieci... kobiety... Biedne wy młode dziewczątka... Stąd w stronę północno-zachodnią... Uratowana od śmierci! ale niestety! obawiam się iżby...

Na tem kończyło się to dziwne pismo... Żadnego pod nim nie było podpisu ale dla mnie nie był on wcale potrzebnym... Poznałem kto to pisał... Poznałem rękę Isoliny de Vargas, chociaż z powodu narzędzia jakiego w miejsce pióra użyła charakter bardzo był zmienionym...

Widocznie kolcem rośliny maguey posługiwała się biedaczka przy tej operacyi...

Uratowana od śmierci!... Boże cześć Ci i chwała... ale cóż to znaczy.... obawiam się iżby...

Dla czego urwała nie dokończywszy frazesu...

Sto przynajmniej razy odczytywałem te słowa, ale nic domyśleć się nie mogłem. Przypatrywałem się innym liściom obracałem każdy na wszystkie strony — nic na nieszczęście nie mogłem odkryć nowego. To co przeczytałem było więc wszystko co nieszczęśliwy anioł mój napisał.

---

## ROZDZIAŁ LXXI.

### Niepewność.

Isolina żyła zatem jeszcze i nie stało jej się nic złego, skoro była w stanie myśleć, działać i pisać. Musiała mieć ręce wolne co świadczyło znowu o względności a może i o dobrem obchodzeniu się, jakiego doznawała ze strony czerwono skórych. Wiedziała że ją gonią. Widziała mnie kiedy pędziłem za nią, jej to krzyk usłyszałem w chwili kiedy biały koń rzucił się do lasu... Poznała mnie zawołała na mnie, wiedziała że będę ją ścigał bezustannie, i dla mnie to napisała kilka wyrazów na liściu.

Raz jeszcze przeczytałem to święte dla mnie, pismo; ale teraz uczułem nowy ciężar na sercu bo gdy się bliżej zastanowiłem nad wszystkiem, poczułem okropną niepewność.

Myśli moje zwróciły się naturalnie ku jej zaborcom, zastanowiłem się nad charakterem dzikich stepowców, wybitnie różnym od charakteru dzikich z lasów, stanęła mi przed oczyma różnica jaka istnieje pomiędzy temi dwoma rodzajami ludzi, tak pod względem powierzchowności jak i kraju jaki zamieszkują...

Klimat, zetknięcie się z cywilizacyją hiszpańską, tak mało podobną do cywilizacyi amerykańskiej — nawyknienie do konia i liczne zwycięztwa odniesione nad białymi nieprzyjaciołmi, wszystko to czyniło z Indyjan południowych ludzi obyczajów moralnych, przypominających więcej Andaluzyją, jak Stany Zjednoczone więcej Meksyk, jak New-York albo Boston.

Czyż można się dziwić że nie mogłem ani spać ani pozostawać na miejscu, dopóki mojej ukochanej niewydobędę z jej okropnego położenia.

Ocucony z ociężałości, która mnie była opanowała, zapomniałem teraz o wszystkiem, zapomniałem nawet o strudzeniu ogromnem, czułem się silnym i zdolnym pokonać wszystko.

Na tę przemianę wpłynęły słowa Isoliny które przeczytałem przed chwilą— wpłynęła niecierpliwość i nowe obawy, które mi szarpały serce.

Chciałbym wsiąść na konia i chwili jednej nie tracąc pędzić dalej za nieszczęśliwą, ale byłem sam jeden tylko... Ale i mój oddział był tak niewielki że co my łącznie mogliśmy uczynić...

Nie postawiłem sobie dotąd jasno tej ważnej kwestyi, i potrzebowałem chwili namysłu ażeby na nią odpowiedzieć...

Co będzie jeżeli zdołamy dopędzić złoczyńców? Obładowanych łupami i niewolnikami dognamy ich z pewnością, czy zadnia czy nocą — ale cóż się w tedy stanie?...

Wszystkiego było nas dziewięciu a ścigamy oddział stu ludzi najodważniejszych z całego plemienia, oddział uzbrojony i wyekwipowany jak należy—dumny świeżemi zwycięztwami i żądny odwetu za porażkę jakąśmy mu zadali.

W razie przegranej nie możemy liczyć na żadne wzlgędy.... W razie przegranej! a jakim że cudem szczególnym moglibyśmy nie być przegranymi?...

Dziewięciu przeciwko stu, czyż mogliśmy wziąć górę nad niemi?...

Nie myślałem wcale dotąd nad rezultatem wyprawy, bo pożerała mnie myśl aby jak najprędzej dopędzić białego rumaka i wyrwać z niebezpiecznego położenia tę, którą na sobie unosił...

Od godziny dopiero dowiedziałem się iż uszła jednego niebezpieczeństwa ażeby popaść w drugie...

Radość jaką uczułem był pierwotnie przeminęła zupełnie, bo w nowem położeniu nieszczęśliwej Isoliny dostrzegłem przyszłość okropniejszą od nieszczęścia, które jej przeżyć sądzono. Ocaliła się od śmierci, ale czy się od hańby ocalić potrafi?...

---

## ROZDZIAŁ LXXII.

### Ogień podziemny.

Podczas gdy pogrążony byłem w tych smutnych zadumach noc czarna zapuściła swe skrzydła nad ziemię. Ołowiane chmury zakryły firmament niebieski i nic zgoła widać nie było.

Ciemność tak wielką była, iż nie byłem w stanie rozróżnić towarzyszów i ich koni stojących blisko mnie.

Ludzie spali powyciągani na trawie jak zabici, zwierzęta były za nadto głodne ażeby mogły myśleć o odpoczynku, to też szmer nieustanny pojaśniał że skubały żarłocznie trawę która na szczęście rosła tutaj obficie.

Był to dla nich najlepszy odpoczynek i z przyjemnością myślałem że im wkrótce powrócą siły stracone.

Pomimo wszystkich obaw i kłopotów, zacząłem sam wreszcie uczuwać dotkliwe zimno, jakie pomimo niskiego położenia stepów południowych daje się często we znaki. Z nocą powstał wietrzyk który w pół godziny zamienił się na wiatr ostry i bardzo zimny...

Przebyłem zimę w Kanadzie, przebywałem zmarznięte jeziora, sypiałem na materacach ze śniegu, w dzikich pustyniach ziemi Rupert, ale nieznałem i ostrzejszego przenikliwszego zimna od tego jakie wytrzymać musiałem teraz na północy Texas. *d. c. n.*

---

# KILKA SŁÓW

## o zakładzie wychowania moralnie zaniedbanych dzieci w Mokotowie.

W dniu 12-tym b. m. mieliśmy sposobność być na popisie rocznym w Zakładzie wychowania moralnie zaniedbanych dzieci w Mokotowie. O myśli założenia tak zbawiennej instytucyi, i mogącej dla kraju tak błogie przynięść owoce, nie będziemy się rozwodzili, bo któż tego z nas nie czuje, któż w sercu nie nosi głębokiej wdzięczności dla założycieli, dobrodziejów, opiekunów i nauczycieli tego zakładu. Miejscowość, położenie, sam budynek, wewnętrzne urządzenie, wszystko to dobrze obmyślane i odpowiada swemu celowi. Gorliwość widoczna w chodzeniu około wychowańców zakładu, tak dyrektora tegoż, ks. Bartłomiejewskiego, jako też nauczyciela p. Zajewskiego i jego pomocników w gałęzi przemysłu.

Widzieliśmy przedewszystkiem ładne wyroby koszykarskie, potem krawieckie i szewckie; chłopcy uczą się ogrodnictwa, pszczolnictwa, jedwabnictwa, a w dodatku, i to dopiero, ile im czasu od zajęć ręcznych i praktycznych

zbywa, pierwszych początków z nauk elementarnych.

Nam właśnie o ten *dodatek* chodzi, który powinien być podstawą i głównem zajęciem wychowańców w Instytucie, a wszystko inne naodwrót dodatkiem, i tyle tylko należałoby na to czasu poświęcić, ile go zostanie od nauki dążącej do oświecenia i umoralnienia wychowańców, którzy w tak młodocianym wieku na bezdrożny bieg życia weszli.

Wszyscy owi chłopcy, ilu ich tam jest, nie dostali się z braku zajęcia, braku sił fizycznych braku chęci do pracy (w dziecku a priori nie przypuszczamy złych skłonności) lecz z braku zajęcia szlachetnego braku nauki i sił moralnych, i braku *sposobności do pracy* człowieka uszlachetniającej.

Dzieci przyjmowane są do Instytutu nie mniej nad 8, a nie wyżej nad 14 lat mające. Najpiękniejszy i najzdatniejszy wiek do nauki, do rozwijania sił umysłowych, do wpływania moralnego na dziecko, i w ogóle do jego oświecenia i wpłynięcia na urobienie jego charakteru. Na tym też punkcie powinna być rozwinięta cała działalność zakładu, wszystkie siły pedagogiczne skupione, aby z moralnie zaniedbanego zrobić moralnego, z leniwego pracowitego, z ciemnego oświeconego, ze zdziczałego nadwiślaka, miłego, pożytecznego i ukształconego mieszkańca miejskiego. Do tego celu dochodzi dziecko tylko nauką i drogą moralnego ukształcenia.

Dla tego powiedzieliśmy wyżej, że w Mokotowskim zakładzie jest za mało tego, co powinno być podstawą wychowania i kierowania chłopców, a zanadto tego, co powinno być tylko dodatkiem. Mówiono nam, dzieci latem są cały dzień w polu, w ogrodzie, przy praktycznem zajęciu, a resztę zbywającego im czasu poświęcają dopiero na naukę. Kiedy zaś, powtarzamy jeszcze raz, głównym celem powinna być nauka elementarnego nauczania w całej swej rozciągłości, a dodatek z gałęzi przemysłu i zajęć praktycznych w ogrodzie, pasiece (jeżeli instytut posiada w rzeczywistości jaką i porządną).

Ale przejdźmy do pojedyńczych przedmiotów egzaminu. Chłopcy popisywali się z nauki religii, a mianowicie z katechizmu i historyi biblijnej. Żywość wykładu, praca i gorliwość bardzo się uwydatniły u ks. B. nie pozostawiając nic do życzenia, tym bardziej, że jak nam zaręczał, brak mu przy nauce było wszelkich podręczników. Nie słyszeliśmy wszakże nic z nauki moralności programem egzaminu zapowiedzianej, do której rozwinięcia i przystosowania, mianowicie przy opowiadaniach z historyi św. obszerne nastręczało się pole.

Najwięcej czasu w egzaminie zajęło czytanie po rusku i po polsku, jako też opowiadanie tego, co chłopcy przeczytali, i to tylko chłopcy starsi (są bowiem podzieleni na dwa oddziały), co chłopcy młodsi umieją prawie nic, albo bardzo mało się dowiedzieliśmy. Nie przedstawiono nam także prac piśmiennych, któreby nam były dały pojęcie o ukształceniu językowem wychowańców. Czytanie samo nie tak gładko wypadło jakby się można było spodziewać po wychowańcach tego zakładu. Nauczyciel p. Z. skarżył się na zupełny brak wszelkich podręczników i aparatów naukowych w zakładzie, tak dalece, że nie posiada więcej nad *dziesięć* podartych ruskich i polskich książek (na 50 chłopców) i to jeszcze książek różnych autorów. Nie pojmujemy tego jak zakład, który znalazł tylu ofiarodawców, który potrafił zdobyć sobie tak piękny gmach instytutowy, dom mieszkalny dla przełożonych, około 10 mórg roli, dziś nie jest wstanie wydatkować na książki i różne aparaty szkolne, choćby tylko 15 rubli rocznie. Powodem właśnie zdaje nam się być to, że nauka w tym zakładzie jest tylko dodatkiem a zajęcia praktyczne głównym celem wychowania.

Chłopcy bardzo szczegółowo znali jeografiją Rosyi i krajów z nią sąsiadujących i oznaczali wszystkie miejscowości na mapkach przez siebie zrobionych. Zakład sam nie posiada ani jednej mapy, ani choćby najmniejszego globusu, i starego w najgorszym razie atlasu. A jednakowoż praca p. Z. zasługuje w tej gałęzi nauki na prawdziwą pochwałę.

O rachunkach nie możemy tego powiedzieć. Owszem bylibyśmy sobie daleko więcej życzyli. Nie postąpiono prawie po za zwyczajne liczbami oznaczonemi mnożenie i dzielenie i to jeszcze z tak silną pomocą drugich osób że nie byliśmy wstanie ocenić o ile chłopcy własnemi siłami dochodzili do rezultatów. A wszakże jest to bardzo ważny przedmiot, na każdym kroku przydatny i niezbędny w życiu praktycznem każdego człowieka. Bez dokładnego rachowania nikt się dziś obejść nie może, owszem na dokładnej jego znajomości polega materyjalne szczęście i pomyślność ludzi.

Z nauk przyrodzonych nic nie słyszeliśmy i prawdopodobnie nie są wykładane w Instytucie, bo programem egzaminu nie były objęte. Również i z nader ważnej gałęzi techniki t. j. rysunków nic nie widzieliśmy. Prawdopodobnie znowu z braku odpowiednich wzorów nie są udzielane. Trudnoć chyba wymagać, aby jeden człowiek znał się i na nauce elementarnej, na jedwabnictwie, na bartnictwie, umiał grać na melodykonie i t. d.

Kładąc naukę na pierwszem miejscu a zajęcia techniczne na drugiem, tak pojmujemy urządzenie takiego zakładu. W letniem półroczu chłopcy wstają o 5-ej godzinie i do 12-ej godziny jako obiadowej zajmują się wyłącznie nauką w szkole; popołudniu zaś ogrodnictwem, pszczolnictwem, jedwabnictwem a w części rzemiosłem jakie w zakładzie są zaprowadzone; w zimowem zaś półroczu wstają o 6-ej i zajmują się nauką do 1-ej a niekiedy i do 4-ej a potem zajęcia praktyczne. Naówczas będzie: in corpore sano, mens sana.

Zajęcia praktyczne należałoby jak najbardziej urozmaicić, bo jak można żądać od chłopca mającego 9 lub 10 lat, żeby był koniecznie szewcem, krawcem, koszykarzem, kiedy on nie ma do tego najmniejszego pociągu. Dla czego np. nie uczą się wychowańcy tokarstwa, introligatorstwa, których wyuczeniem dzieci i chętnie się zajmują i same te rękodzielnie mało miejsca do pracy i mało i niekosztownych przyrządów wymagają.

Dziwna rzecz, do jakiegokolwiek zakładu dobroczynnego wnijdziemy wszędzie szewcy i krawcy, tak jak gdyby biedny człowiek koniecznie szewcem lub krawcem się rodził. Ba, nawet każdy ojciec, matka, opiekun, stryjaszek i t. d. grozi leniwemu uczniowi lub jakiemu figlarzowi: ej! poczekaj hultaju, jak się nie poprawisz, *to cię oddam do szewca!!* A toć to jakby jaka kasta paryjasów, ci biedni szewcy, kiedy każdego nieponia, każdego niecnotę do ich grona chcemy zaliczać!!

Dla czego, pytamy się, w Mokotowskim zakładzie prócz tych dwóch rzemiosł nie uczą się chłopcy jeszcze innych?.. Powiedzą nam, nie ma na to funduszu. Skoro się znalazł i *koniecznie znaleść musi* w każdym zakładzie dobroczynnym fundusz na szewców i krawców, to dla czego nie miałby się znaleść jeszcze i na inne rzemiosło, odpowiednie do uczenia małych niedorostków. Silna wola i chęć wiele może zdziałać.

Kończąc nasze uwagi i spostrzeżenia jesteśmy tego przekonania, że Instytut Mokotowski, mieszczący w sobie dzieci od 8—14 roku życia, powinien przedewszystkiem być szkołą umoralnienia przez naukę, i szkołą zachęty do pilności przez pracę.

*A. C.*

# PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

## III.

## MALARSTWO.

(Dokończenie)

Chcąc jak najlepiej dzielić się z czytelnikami naszemi wrażeniem wywołanem przez pejzaż morski Aywazowskiego, aniśmy się spostrzegli, jak zabłądziliśmy na koniec galeryi by być obecnymi na *smutnym* „pogrzebie samobójcy.“ Gdyśmy jednak odetchnęli już na „stacyi pocztowej“; ulitowali się mimochodem nad puchliną klaczy której nielitościwy p. Witkiewicz kazał pług ciągnąć, — a wdzięki „dziewczyny na łąkach“ jakkolwiek wywołują nawet w czajkach i konikach polnych pewne erotyczne zachcianki, nas jednak wcale niezachwycają—pozwólmyż sobie odpocząć i do syta nakarmić się prześlicznym widokiem dwojga pacholąt, z nieporównanym wdziękiem wiodących ze sobą wojnę domową.

Nie trwóżcie się jednak—nie niebezpieczna to walka — „la guerre sans danger.“ Cudnej piękności kilkoletnia dziewczynka — jakiej każda matka pozazdrościłaby p. *Horowitzowi*— bo on to wywołał tę walkę— bo on tylko umie tak idealnie — naiwne stwarzać typy— igrając na dywanie, ukrywa pod poduszką, na której wsparła swą o jasnych lokach główkę, lalkę—przedmiot namiętnej miłości jej maciupeńkiego braciszka— śliczniutkiego roku niemającego bębna—który jednak zuchwale walczy za damę swych myśli.

Nie będę nic mówił o malowaniu tego obrazu. Horowitz jest mistrzem w takich tematach, a plastyka jaką umie wydobyć, niedościgniona miękkość pendzla przy śmiałem i szerokiem traktowaniu, pracowite skończenie są zaletami które w mniejszym lub większym stopniu posiadają wszystkie dzieła tego arty-

sty, umiejącego z niewdzięcznego nawet portretu stworzyć charakterystyczny i pełen poetycznego wdzięku obraz.

Dla czegoż nie możemy tego samego powiedzieć o portrecie p. *Karola Millera* przedstawiającym jednego we trzech osobach chłopczyka! Dziwno nam zaiste, że taki artysta jak p. Miller, który niejednokrotnie dowiódł że jak chce to umie malować, którego własny portret zrobiony w darze dla Towarzystwa Zachęty S. P. jest przewyborny i pod względem podobieństwa, charakteru, i pod względem traktowania, a o wiele lepszy od innych pod względem rysunku—że p. Miller, nie umiał, czy też nie chciał sobie zadać trudu nawet w porządnem ustawieniu tych dzieci. Toć to nawet pierwszy lepszy fotograf, pomimo daleko większych trudności, jakie miałby w upozowaniu takich trzech niedorostków—starałby się jednak o zwrócenie uwagi na ogólne linije grupy, na jej estetyczną całość,—a co najważniejsza, że aparat nie wypłatałby mu takiego figla, jaki sobie wypłatał p. Miller—obdarzywszy wszystkich trzech chłopczyków nietylko temi samemi rysami twarzy—bo c'est possible —lecz i tym samym bezmyślnym wyrazem twarzy.

Szczerze wyznajemy, że portret ten przykre na nas zrobił wrażenie. Podobały się nam w nim najlepiej draperyje i ramy. A niech p. Miller pamięta, że zawsze chcielibyśmy z uznaniem dla jego talentu, dla jego łatwości i płodności pędzla, dla jego miłego kolorytu, przeczytać jego nazwisko pod obrazami, któremi ozdabia Wystawę Towarzystwa.

Jeżeli zawadziliśmy o fotografiję, niechże wolno będzie nam spytać pana *Dylczyńskiego*, ażaliż jego dama wymustrowana przy stoliku i trzymająca w ręku fotografiję, pozuje do fotografii—czy też tylko z fotografii jest kopijowaną? Wolelibyśmy, ażeby tak było, bo moglibyśmy stanąć w obronie „Pamiątek" p. Dylczyńskiego, przeciw tym, którzy zawzięcie utrzymują, że te pamiątki są po prostu strugane z drewna.

Pomiędzy licznymi portretami i rodzajowymi obrazami, przybyłemi w tych czasach na Wystawę, z przyjemnością wyczytujemy nazwiska kobiet, które porzuciły igłę dla pendzla i... zapewne nie będą tego żałować. Znanej pastelistki p. *Dukszyńskiej*, portret dwojga dzieci, odznacza się zwykłemi tej artystce zaletami; a portret p. Gierymskiego Aleksandra, który p. Dukszyńska wykonała bardzo pośpiesznie, jest efektowny— oryginalnie wygląda na tem tle z jedwabnej białej makaty, doskonale traktowanej—ma tylko za mało charakteru właściwego modelowi i przeto szwankuje cokolwiek na podobieństwie.

Panna *Zofija Glazer*, debiutowała na wystawie „Portretem strzelca", który — pomimo że niektóre szczegóły w twarzy są za twardo (nie realnie—jak utrzymują niektórzy) traktowane, i że draperyję ma bardzo słabo malowaną— w czem przebija się mała znajomość techniki malarskiej i brak studyjów z martwej natury — jest jednak charakterystyczną, dobrze rysowaną i wiele obiecującą pracą. Jeśli tę pierwszą swą pracę, panna Glazer samodzielnie malowała, możemy jej śmiało przepowiedzieć, że będzie bardzo pożyteczną artystką—a pan *Stolzmann*, którego podobno jest uczennicą, może sobie wykształcić niebezpieczną rywalkę.

Kilka pejzaży nadesłanych przez *Szermentowskiego Józefa*, pomiędzy któremi wielkich rozmiarów „Młyn wodny" i fantazyjna „Gwiazda zaranna", odznaczają się śmiałością barw, oryginalnem traktowaniem, wyszukanem oświetleniem i techniką przechodzącą już w manijerę.—Wpływ francuskiej szkoły, a nawet ślepe jej naśladownictwo, zanadto przebija w ostatnich pracach tego artysty.

Nie chcemy przeto powiedzieć, by prace te nie były lepszemi od dawniejszych. Niezawodnie p. Szermentowski nietylko maluje dużo, dużo umie przyswajać, lecz nadto maluje coraz lepiej. Śliczne jest jego „Zrujnowane gniazdko", a „Gwiazda zaranna", jakkolwiek nie ma dokładnego charakteru przedświtu, to jednak harmonija barw i stopniowanie światłocienia pozwalają o tem zapominać, chmury tworzące Bogarodzicę z dzieciątkiem są wcale zręczne.

Na zbyt za to piernikowe tony we „Wsi" p. *Ruśkiewicza*, wcale się nie piszemy, i wolimy przed wyjściem z Wystawy zachwycać się widokiem „Chaty kowala pod Janowcem" którą z takiem pojęciem polskiej natury i polskiego nieba; z takiem poetycznem poczuciem piękna namalował nasz pejzażysta—*Malinowski*. Gdyby przy znakomitej technice, przy ogromnych zasobach talentu, jaki posiada p. *Małecki* z Monachium, miał jeszcze to poczucie naszego powietrza, jakiem obdarzony jest Malinowski, nie mielibyśmy nic do zarzucenia jego „Krajobrazowi z nad brzegów Wisły," który tymczasem tak dobrze mógłby przedstawiać brzegi każdej rzeki jak i Wisły. Za dużo manijery, za dużo!

O rodzajowym obrazku „Schadzka" i pastelowej grupie „dwojga dzieci" nic czytelnikowi nie powiemy, a to z tej prostej przyczyny, że autorem ich jest

*Henryk Filipowicz.*

---

# BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

(ciąg dalszy).

*Pedagogika obejmująca zasady i metody moralnego, fizycznego i naukowego wychowania dziatek. Ze szczególnym względem na potrzeby wychowania domowego wyłożył August Jeske. Warszawa. Nakładem księgarni S. Arcta w Lublinie. 1875 r. str. 352 in 8-o. (Cena w oprawie rs. 1 kop. 50).*

Drugą część Pedagogiki zajmuje „Wychowanie fizyczne". Równowaga jaka zachodzić powinna między rozwijaniem władz ciała i umysłu dziecka, tak zgubnie zachwiana w dzisiejszem wychowaniu, szczególniej potrzebuje zwracać na siebie pilną uwagę wychowawców, równie jak środki prowadzące do wykształcenia w prawidłowy sposób organizmu, bez czego społeczeństwu grozi stan chorobliwy i skarłowacenie. Dział ten, w dziele przedstawiającem wzór wychowania stać powinien na czele, nieuwłaczając w niczem moralnym dążnościom wychowawczym które mimo ten nacisk położony na fizyczność, nieprzestają być głównym celem pedagogicznym i z nauczaniem w ścisłym związku zostają.

Autor w tej części książki traktuje fizyczne wychowanie dziecka zacząwszy od chwili rozpoczęcia nauki elementarnej i przeważnie w stosunku do nauki. Pominięcie pierwotnego pielęgnowania ciała wychowańca tłomaczy się wydaniem przez autora osobnego dziełka w tym przedmiocie, jest jednak szczerbą w całości jaką „Pedagogika" przedstawiać powinna.

Dział fizycznego wychowania w zakresie objętym przez autora odpowiada ważności swego zadania pojętej przez niego gruntownie i przedstawionej dobitnie. Znajdujemy tu kompletną hygijenę elementarnego i szkolnego peryjodu życia dziecka naukowo i praktycznie wyłożoną, mnóstwo cennych przestróg i prawd tak obcych nie mówię już ogółowi, ale nawet ludziom zajmującym się wychowaniem specyjalnie. Szczupłość miejsca, niepozwala nam szczegółowo przedstawiać treści tego działu w którym kolejno autor traktuje hygijenę mózgu, organów zmysłowych, przyrządu oddychania, krążenia krwi i t. d. Całość odznacza się głębszą znajomością przedmiotu i wytrawnością sądu zdolną zbawiennie wpłynąć na wychowawców lekceważących zwykle fizyczną stronę dziecka. Rozdział zajmujący się mózgiem ucznia szczególniej zwraca uwagę, niemniej „jakich potrzeba wskazówek dziecku aby zdrowie swoje szanować umiało" w którym to artykule autor przekonywająco zaleca aby wychowaniec nietylko podlegał przestrogom hygijenicznym ale sam rozumiał swój organizm i jego potrzeby.

W dziale wychowania fizycznego jeden tylko brak nas uderza: zupełne prawie przemilczenie gimnastyki. P. Jeske nie jest zwolennikiem sztuczności i my jej nie hołdujemy, lecz pominąwszy już korzyści tej gałązki fizycznego wychowania, korzyści które daje równomierne i systematyczne ćwiczenie muskułów, musimy brać pod uwagę iż nieledwie większość dzieci pozbawiona jest możności swobodnego ruchu i zajęć sprzyjających rozwojowi ciała lub w zbyt szczupłym zakresie je posiada. Brak celowych, swobodnych ruchów i prac fizycznych musi być przecie wynagrodzony czemkolwiek aby nie doprowadził do jednostronności i skarłowacenia? Ważność gimnastyki w fizycznem wychowaniu dzieci każdy dziś już ocenia, choć nowość ta pomimo uznania (jak to zwykle u nas się dzieje) małe ma zastosowanie. Zadaniem p. Jeskiego było wykazać tu właściwie miejsce dla ćwiczeń fizycznych tymczasem z pewną niechęcią o nich się wyraża. np. radząc „leżenie" jako najwłaściwszy odpoczynek po nauce (str. 99). Nieprzeczę że zostawienie wychowawcowi swobody w czasie przeznaczonym na jego zabawę i ćwiczenia fizyczne do pewnego stopnia najlepszym jest środkiem pedagogicznym, lecz tu zachodzi potrzeba dostarczenia mu odpowiednich środków potemu (gry, towarzystwo, konna jazda zajęcia w ogrodzie i t. p.), co nie zawsze jest możliwe. To także trza mieć na uwadze, że przy dzisiejszym stanie wychowania mnóstwo jest dzieci niedokrwistych, dla których apatyczny spoczynek jest najmilszą rzeczą, któ-

re we względzie ruchu potrzebują koniecznie pobudki i rozumnego kierunku.

Jeżeli w dwóch pierwszych częściach Pedagogiki p. Jeskiego pozwalaliśmy sobie uwag ujemnych, lub sprzecznych z jego widzeniem rzeczy, to dwie następne zajmujące się właściwem nauczaniem (Metodyka i Dydaktyka) wyłączny prawie tylko szczery poklask uznania i wdzięczności wywołać muszą z naszej strony. Z każdego szczegółu równie jak z całości znać tu, że część ta jest właściwem polem pracy autora, uprawianem w długoletnich studyjach teoretycznych i sumiennej praktyce. Autor tu przejęty zasadami naszych dawniejszych pedagogów, w wytkniętym przez nich kierunku rozwinął je świetnie, uzupełnił i podał w ściśle systematycznej całości, obejmującej cały zakres początkowego nauczania.

Sprobujmy dać ogólny zarys tej pracy.

Na wstępie do „Dydaktyki" autor przedstawia jako „ogólną zasadę nauczania" dążność do rozwijania umysłu dziecka w kierunku życiowym: „abyśmy" jak mówi przytoczony tu Piramowicz „mieli zawsze przed oczyma jako jedyny cel pożyteczność w życiu i społeczeństwie." Celowi temu jedynie posługuje metoda *indukcyjnego* rozwijania umysłów, zwracająca je najprzód do rzeczy najbliższych bezpośredni związek mających z życiem dziecka, do dalszych od pojedynczych do złożonych, aby tym sposobem nauczanie obok podawania prawidłowo rozszerzającego się zakresu wiadomości osiągało istotniejszy jeszcze cel swój wykształcanie władz umysłu do rzeczywistego życia i działania. Myśl tę autor przeprowadza następnie w rozdziale zatytułowanym „Metody" gdzie najprzód wykazawszy ważność metody z zasady że—nie nauka lecz sposób w jaki się ją wykłada kształcą człowieka, przystępuje do określenia znaczenia *Dydaktyki* (zajmującej się tem, czego i według jakich zasad trzeba uczyć), i *Metodyki* (traktującej sposoby i środki dążące do tego celu). Pierwsza ma na celu kształcenie duszy przez naukę, druga wskazuje jakiemi drogami osiąga się to zadanie. Tu przedstawiają się trzy zasadnicze warunki korzystnego nauczania, zależne od uczącego aby dziecko uczyło się chętnie, aby je prowadzić do gruntowności, aby stopniowo rozwijać je przez stopniowe rozwijanie nauki. Ku temu dwie drogi bywają używane: metoda *elementarna* (indukcyjna albo analityczna) wiodąca od doświadczenia i spostrzeżeń, od pojęć pojedyńczych do uogólnień złożonych, druga *umiejętna* (dedukcyjna albo syntetyczna, która od prawd danych przez naukę, od jej rezultatów, przechodzi do szczegółów poznania, drogą spekulatywną. Są to zasadnicze różnice metod z których pierwsza jest naszą własnością, u nas powstała i przez Komisyę Edukacyjną z 1773 r. za podstawę nauczania była położona, druga jest metodą niemiecką, do dziś dnia u niemców praktykowana mimo uznania przez nich wyższości metody indukcyjnej.

Wyższość tej metody w początkowem nauczaniu nie ulega żadnej wątpliwości. Bez niej, jak słusznie dowodzi autor w ustępie zatytułowanej temi słowy: „niema ani ksiąg ani wykładem elementarnych." Czyliż jest to zgodne z rozumem aby dziecku niemającemu najpierwszych warunków poznania, kazać się sztucznie wspinać na wyżynę teoryi, zamiast postępować drogą naturalną rozwijania pojęć coraz szerszych od spostrzeżeń do uogólnień? Jest to wreszcie naturalny sposób rozszerzania się wiedzy. Autor tę myśl popiera przykładami, powstania pisma przed czytaniem, genetycznym rozwojem gramatyki i t. d. które w zupełności popierają indukcyjną metodę elementarnego nauczania. Według niej tedy zamiast zacząć naukę geografii od definicyi: co jest geografija i przechodzić do opisania kuli ziemskiej, części świata i t. d. należy zacząć od własnego mieszkania, od miejsc najbliżej otaczających dziecię stopniowo rozszerzając pojęcie jego, na okolice dalsze, kraj własny, kraje sąsiednie, aż do pojęć ogólnych. W naukach przyrodzonych, matematyce i t. p. od doświadczeń, okazów, najprostszych pojęć, do których umysł dziecka dochodzi samodzielnie, rozumnie kierowany przez nauczyciela, do ogólnych oderwanych i ich związku.

Metoda dedukcyjna tymczasem, niedająca umysłowi twardego gruntu jako punktu oparcia dla dalszego rozwoju, przytępia go, zmusza do uczenia się na wiarę w słowa książki, nierozwija własnego sądu i stawia tamę logicznemu postępowaniu umysłu. Niemożemy tu wstrzymać się od zacytowania słów autora:

„Niechaj się zmieni przeto jak najrychlej ten zakorzeniony nałóg pamięciowego ogólnikowego uczenia; niechaj miejsce jego zastąpi raz na zawsze metoda elementarna, indukcyjna, odpowiadająca psychologicznemu rozwijaniu się człowieka, a zmieni się niewątpliwie umysłowy stan i los młodzieży naszej."

Rozdział dydaktyki pod tytułem „Nauczyciel," w którym autor w spiera się głównie na cennym dziele Piramowicza p. t. „Powinności Nauczyciela" (wydanem w 1787 r.) odnosi się do charakteru, przymiotów i zasad których trzymać się musi sam wychowawca, gdyż tu na jego indywidualności, na jego sposobie postępowania i stopniu przejęcia się swem powołaniem cała prawie sprawa wychowania polega. W porywający sposób skreślone tu jest „Powołanie nauczyciela," a dalej w treściwy sposób przedstawione rady co do udzielania strofowań, kar i zachęty wychowańcom. Chcąc streścić ten rozdział trzebaby go w całości powtórzyć, tyle tu w szczupłych ramach pomieszczono prawd wielkiej wagi, tak często zapominanych a tak rzadko wcielanych w życie! Oby jak najwięcej wychowawców czytać mogło te słowa głęboko przemawiające do przekonania, pełne zbawiennych przestróg. Dalej autor przystępuje do najobszerniejszej części swego dzieła do „Metodyki" obejmującej szczegółowo, metodę wykładu nauk wchodzących w zakres początkowego nauczania.

*d. n.*

---

# GOSPODARSTWO
# i
# Przemysł domowy.

---

**Sztuka mięsa z pieca.** Dobrą sztukę mięsa wołowego od przedniej ćwierci zbić i opłukać, naszpikowawszy go młodą słoninką utarzaną w sproszkowanych goździkach. Spód rondla wyłożyć słoniną młodą nie soloną w cienkie pokrajaną listeczki, dodać kilka całych cebulek, pokrajaną w talarki cytrynę, angielskiego ziela, liścia bobkowego, włożyć w powyż przygotowany sposób mięso, podlać rosołem, lub wodą, dodać trochę octu, szklankę wina białego, gotować na wolnym ogniu przez parę godzin pod pokrywą. Dodać włoszczyzny i dusić z nią pod pokrywą na wolnym ogniu a gdy będzie gotowa, sos przetrzeć przez durszlag, dodać tartą skórę chleba do niego, przyrumienić i polawszy nim mięso, wydać na stół.

**Sok porzeczkowy.** Utłuc porzeczki i masę tę przecedzić przez gęste płótno, zlać w słoje szklanne i niech postoją w nich z kilka dni dopóki nieco nie zafermentują. Zrobić syropu licząc funt cukru na kwartę soku, pomieszać razem i przesmażyć na wolnym ogniu przez kwadrans czasu. Później pozlewać w dobrze suche butelki, zakorkować, z wierzchu zalać pakiem i wstawić w piasek do chłodnej piwnicy.

**Porzeczki smażone.** Wydruzgotać porzeczki jak najstaranniej, aby nie było w nich żadnej pestki, a sok nie wyciekł. Na każdy funt porzeczek wziąść półtora funta cukru, usmażyć syrop i gorący wlać na przygotowane porzeczki, niech tak postoi razem dwadzieścia cztery godzin. Potem odlać przez durszlak, syrop osobno lepiej dosmażyć, włożyć doń następnie porzeczki, smażyć wszystko razem na wolnym ogniu szumując starannie, dopóki dobrze niezgęstnie.

**Kadzidło płynne.** Wódki lewandowej jeden kubek, wody różannej dwa kubki, sproszkowanych gwoździków ćwierć kubka, wody kolońskiej dwie małe flaszeczki, razem wymięszać niech tak postoi dni kilka, a w razie potrzeby kadzić polewając tę mięszaninę na rozpaloną łopatką żelazną. Im dłużej stoi, tym piękniejszą woń wydaje w kadzeniu.

**Suflet cytrynowy.** Ugotować cytrynę w wodzie, tak iżby słomką można przebić skórkę, wyjąć ziarnka od którychby gorycz była i rozetrzeć ją w donicy. Do jednej cytryny, bierze się pięć jajek, odłączając żółtka od białek, które się osobno ubijają, białka zaś na najmocniejszą pianę. Naprzód mieszają się żółtka z cytryną, potem w końcu dodaje się piana z białek co wszystko starannie umieszawszy, wstawia się do wolnego pieca.

**Robienie octu w domu.** Okowity półkwarty, drożdży piwnych półkwaterek, grochu piętnaście ziarnek, skórkę chleba upalić, to wszystko umieszać razem w jakiem naczyniu, otwór

papierem obwiązać, pokłuwszy go na wierzchu dla przystępu powietrza. Postawić w cieple przez cztery tygodnie, a skutek swój pokaże.

**Tani sposób zakładania lodowni.** W sąsieku lub ocienionem miejscu wykopuje się dół. Spód powinien mieć przepuszczalny, aby zbierająca się woda łatwo mogła wsiąkać. Wprost na piasek kładą się bryły lodu przysypując śniegiem i rąbiąc drobno, aby zaś powietrza nie pozostało nic w lodzie, polewa się z wierzchu wodą, która zamarznąwszy całą lodownię spoi w jedną bryłę lodu.

Z wierzchu mając lód pokryć na zachowanie słomą, należy go również polać pierwej wodą. Na słomę zaś kładzie się wysoko torf, igliwie, trociny albo słoma. Latem biorąc lód z lodowni, trzeba otwór szczelnie zakrywać.

**Sposób robienia drożdży.** Ludy wschodnie w ten sposób na domową potrzebę wyrabiają u siebie drożdże, które wszędzie z korzyścią naśladować można, gdzie jest tylko niedostatek tego artykułu. Wziąwszy dobrą łyżkę stołową przeszrótowanego grochu polnego, wsypać do jednej kwarty miękkiej wrzącej wody, wymieszać dobrze, nakryć z lekka napełnione naczynie i postawić na noc w ciepłem miejscu. Nazajutrz z rana, pływająca po wierzchu piana, ma wszelkie własności używanych powszechnie do zakisu drożdży.

**Musztarda zwyczajna.** Mąkę umieloną z białej i szarej gorczycy, zalać kwartą wrzącego octu, wymieszać i niech tak postoi dni kilka. Potem dodać dwie miarki sproszkowanego cynamonu, jedną miarkę goździków, ćwierć funta miałkiego cukru, wymieszać starannie i zachować do użytku w naczyniu szklanem lub glinianem polewanem.

**Marynowanie wiśni i śliwek.** Wiśnie lub śliwki zdjęte świeżo z drzewa, układa się w szklannym słoju aż do pełności. Osobno wziąść tyle octu aby owoce w słoju zatopione nim być mogły, osłodzić go cukrem, o tyle ile potrzeba do smaku i zapachu, przegotować razem, wystudzić dobrze i zalać nim owoce napełnione w słoju, nakryć z wierzchu papierem napojonym oliwą, nałożyć pęcherzem i obwiązać postawiwszy w chłodnem miejscu. Po kilku dniach gdy ocet skutkiem połączenia się z sokiem owoców utraci swą siłę, zlać go zupełnie, przegotować dodawszy cukru i octu w miarę potrzeby, wedle smaku i ostudzonym płynem zalać w słoju powtórnie tę marynatę. Po kilkunastu dniach sprobować płyn a jeśliby okazała się potrzeba, powtórzyć znowu tę samą działalność.

**Zupa st. Julien (Sężulię).** Wszelką włoszczyznę jaka się znajduje pod ręką, obrać, oczyścić, pokrajać w kawałki, nalać wodą, niech się gotuje. Osobno zaś wziąwszy marchwi, kalarepki, pietruszki, pokrajać w paseczki i dusić w maśle dopóki nie będą dobrze miękkie, podlewając potrochu ukropem. Przecedzony smak z włoszczyzny zasmażyć masłem z mąką, uduszone zaś w maśle jarzynki włożyć na wydaniu do wazy. Do tej zupy dodawać można grzanki.

**Sok agrestowy.** Nie zupełnie dojrzały agrest utłuc w drewnianem naczyniu, przecedzić w szklanne otwarte naczynie i postawić w chłodnem miejscu, aby się tak odstał przez dziewięć dni. Po upływie tego czasu, zrucić z wierzchu kożuch jaki się uformuje, zlać do butelek dodając do garnca tego soku jedną cytrynę rozdzieloną na cztery ćwiartki i włożyć po jednej do każdej kwartowej butelki wraz ze skórkami w którą sok został ściągnięty, wynieść do piwnicy i zachować do użytku.

**Chłodnik owocowy.** Trzy kwarty malin truskawek, poziomek lub porzeczek stosownie do wyboru, przetrzeć przez gęste sito, dodać sproszkowanego cukru do smaku, dolać półgarnca kwaśnej śmietany, wymieszać starannie, oziębić w lodzie, a wydając na stół można włożyć do wazy biszkopciki lub ciastka piankowe.

**Kalarepa nadziewana.** Młodą kalarepkę oczyścić z łupin, opłukać, wierzch odkrajać wydrążyć w środku w ten sposób, aby wydrążenie było okrągłe i obszerne dla wypełnienia go nadzieniem. Nadzienie zaś robi się tym sposobem: wziąć łojku od nerek wołowego lub baraniego, bułeczki tarkowanej, jajko, cokolwiek pieprzu, natki pietruszczanej, usiekać drobniuchno, a połączywszy w jedną masę, ponapełniać kalarepę, nakryć każdą swym wierzchołkiem, obwiązać nitką, ułożyć w rondlu, zalać rosołem i ugotować. Gdy już jest w połowie ugotowaną, zalać maślanym sosem lub śmietaną zatrzepaną mąką, wysadzić pod pokrywą i wydać na stół poodejmowawszy nici.

**Pilaw turecki.** Ugotować mostek barani z włoszczyzną, solą i korzeniami na miękko. Potem włożyć go do rondla wsypać sparzonego ryżu, zalać rosołem od mostków pozostałym dodać łyżkę masła, nieco sproszkowanego kwiatu muszkatołowego, szafranu posolić i dusić pod pokrywą na wolnym ogniu. Wydając na stół, polać z wierzchu masłem przetopionem z bułeczką.

**Masło rakowe.** Z ugotowanych raków, skorupki i nóżki utłuc w drewnianej stępce lub marmurowym moździerzu na masę. Rozpuścić masło w rądelku, włożyć do niego utłuczoną masę, smażyć na wolnym ogniu, mieszając ciągle, aby się nieprzypaliło. Przetrzeć przez gęste sito, zlać do szklannego naczynia, ostudzić, z wierzchu zalać baranim łojkiem, owiązać woskowanym papierem i zachować w suchem a chłodnem miejscu.

**Barszczyk ogórkowy.** Ugotowawszy rosół zwyczajnym sposobem, dodać do niego odpowiednio do smaku kwasu z kiszonych ogórków i zagotować razem następnie zaprawić kwaśną śmietanką, podbitą mąką dodać nieco siekanego kopru świeżego, zgotować i wydać. Podobny barszczyk można robić również biorąc zamiast rosołu smak z wygotowaną włoszczyzną.

**Konserwowanie czarnych jagód** (borówek). Oczyszczone starannie jagody nasypują się w butelki, szpontują i gotują; lub też bez gotowania zakopać w piasku w piwnicy. Z za konserwowanych jagód w ten sposób można w zimie robić zupę w której przepis podaliśmy w przeszłym numerze pisma naszego, albo też wycisnąwszy z nich sok ubić ze śmietaną, którą się ma polać jaka leguminka na wydaniu.

---

## Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Józefowi Zag... w Telwmirzu. Opiekuna najregularniej wysyłamy. Po brakujące N-ra zechce Pan się zgłosić na pocztę w Wilejce. Wrazie nieotrzymania ich wyślemy powtórnie.

P. Stan. Jordan w Janowcu. Wszystkie wyszłe dotąd N-ra w tem półroczu wysłaliśmy Panu. Zechce więc Szanowny Pan upomnieć się o nie na poczcie.

P. Iwianowsk... w Hrub. N-r 19 powtórnie wysłany.

P. Bronikowsk... w Mglinie. Rs. 3 odebraliśmy. Dodatków w tym roku nie ma.

---



Дозволено Цензурою. Варшава 9 (21) Іюля 1875 г. — W drukarni E. Skiwskiego, — Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca HENRYK PERZYŃSKI.